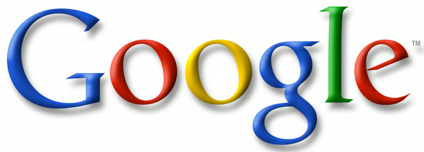
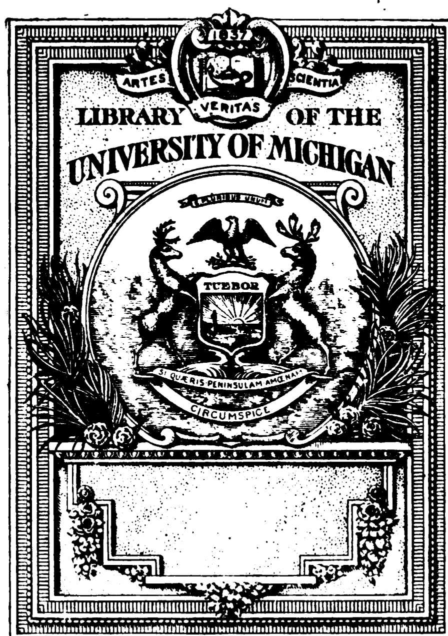





1837
ARTES
SCIENTIA
VERITAS
LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF MICHIGAN
TUEBOR
SI QUÆRIS PENINSULAM AMŒNAM
CIRCUMSPICE

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

W. S. Crapelli
Tow. „Polonia"
w Ann Arbor, Mich
7/VI, 1912

LISTY Z JAPONII

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa, Nowy-Świat 41.

BIBLIOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO Nr 12

RUDYARD KIPLING



LISTY Z JAPONII



PRZETŁOMACZYŁ
Maryan Poloński



BEZPŁATNY DODATEK DLA PRENUMERATORÓW TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW—G. GEBETHNER i Sp.
1904.

Дозволено Цензурою.
Варшава 10 Декабря, 1904 года.

LIST I

Dziesięć godzin pobytu w Japonii, a w tem całkowity opis obyczajów i zwyczajów narodu japońskiego, historya jego konstytucyi, jego przemysłu, sztuki i cywilizacyi, oprócz kolacyi, którą spożyłem z O-Toy w herbaciarni.

Dziś rano, po udręczeniach nocnego bujania się okrętu, ujrzałem przez okno kajuty dwie wielkie szare skały, pokryte zielonemi smugami i uwieńczone dwiema karłowatemi czarno-niebieskiemi sosnami. Poniżej skał — łódź, takiej barwy i delikatności, jakby była zbitą z drzewa sandałowego, kołysała na wietrze porannym blado-żółty żagiel. Młody chłopiec, z cerą twarzy w tonie starej kości słoniowej, szafirowo odziany, ciągnął za linę. Skała, drzewo i łódź tworzyły obraz parawanu japońskiego, co mnie utwierdziło w przeświadczeniu, że ląd nie jest złudzeniem. Nasza poczciwa, stara ziemia chowa w zapasie wiele rozkoszy dla swych dzieci, ale w skarbach jej mało jest takich, któreby można porównać z radością oglądania nowego kraju, obcej całkiem rasy i odmiennych obyczajów. Napisano już całe biblioteki podróżnicze, ale to nie przeszkodzi, aby każdy z nas był na swoją rękę Cortezem. Jestem tedy w Japonii, w Japonii pudełek i wyrobów stolarskich, w kraju ludzi czaru-

jących i uprzejmych, w kraju, z którego pochodzi kamfora i laka i szable z pochwami ze skóry rekina; jestem, jak się mówi w książkach, śród narodu artystów. Co prawda, po drodze do Kobe, mamy się zatrzymać w Nagasaki przez dwanaście zaledwie godzin, ale w czasie takim można przecież zebrać sporo nowych wiadomości.

Jakiś obrzydliwy człowiek zbliża się do mnie na moście i podaje mi niewielką, o jakich pięćdziesięciu stronicach książeczkę w blado-niebieskiej okładce.

— Czy widziałeś pan — pyta — konstytucyę japońską? Cesarz napisał ją sam niedawno. Wzorowana jest od początku do końca na konstytucyach europejskich.

Wziąłem broszurę i znalazłem w niej całkowitą konstytucyę na papierze, z pieczęcią chryzantemu cesarskiego, wyborny plan przedstawicielstwa narodowego, reform, płacy deputowanych, określenia budżetu i prawodawstwa. Straszna to rzecz przy bliższem zbadaniu, bo — rozpaczliwie angielska.

Na wzgórzach, otaczających Nagasaki, dojrzałem zieleń z żółtawym odcieniem; różniła się ona, jak wskazywał mój umysł pełny dobrej woli, od zieloności innych krajów. Była to zieleń parawanów japońskich. Sosny były także parawanowe. Miasto z trudem wyłaniało się z zatłoczonego nadmiernie portu. Leży ono śród pagórków, a jego dzielnica handlowa, czyli zaniedbane wybrzeże, jest pusta i błotnista. Handel, jak o tem z radością posłyszałem, stoi w Nagasaki dość nizko. Japończyk nie powinienby mieć żadnego związku z interesami handlowymi.

Humor mój wzmógł się jeszcze, gdy wylądowałem: młody dżentelmen, ze srebrnym chryzantemem na czapce policyjnej, w źle dopasowanym, niemieckim

uniformie, zagadał do mnie czystą angielszczyzną, że mnie nie rozumie. Był to japoński urzędnik celny. Gdyby nasz pobyt przedłużył się nieco, płakałbym nad nim, była to bowiem hybryda francusko-niemiecko-amerykańska, to jest szczególna danina złożona cywilizacyi. Wszyscy urzędnicy japońscy, począwszy od policyantów, odziani są w europejskie niby ubrania, które im zgoła nie pasują. Sądzę, że mikado wprowadził je razem z konstytucyą. Z czasem znikną naturalnie.

Kiedy fotel na kołach, ciągniony przez ładnego, pucołowatego chłopca, wprowadził mnie w dekoracyę pierwszego aktu Mikada*), z trudem powstrzymałem się od wydawania radosnych okrzyków, albowiem odzież moja jaśniała jeszcze całą godnością Indyi. Wyciągnąłem się na aksamitnych poduszkach i uśmiechałem się zalotnie do Pitti-Sing **), opasanej szeroką szarfą, ustrojonej w drewniane chodaki i w trzy olbrzymie szpilki, sterczące w czarno-granatowych włosach. I ona roześmiała się do mnie i ten śmiech, kobiecy śmiech, powitał mnie na wstępie do Japonii. Czy ludzie mogą się tam powstrzymać od śmiechu? Sądzę, że nie. Mają oni przecież takie tysiące dzieci na ulicach, że starsi muszą się odmłodzić, aby się dziatwa nie nudziła. Nagasaki zamieszkują wyłącznie dzieci. Starsze osoby są tam jedynie tolerowane. Dziecko, mające cztery stopy wzrostu, prowadzi za rączkę dziecię trzystopowe, to zaś kroczy z dzieckiem dwustopowem, któ-

---

*) „The Mikado“ jest to tytuł sztuki Gilberta i Sullivana, bardzo popularnej w Anglii.

**) Pitti-Sing—to jedna z postaci sztuki „The Mikado“.

re znów dźwiga na plecach maleństwo jednostopowe, to ostatnie wreszcie — ale nie dacie wiary, gdy wam powiem, że skala dochodzi do sześciocalowych lalek nippońskich, jakie sprzedają w „Burlington Arcade”. Laleczki te poruszają się żwawo i śmieją. Odziane są w niebieskie koszulki, opasane szeroką szarfą, która znowu opasuje koszulkę tego, które je dźwiga. Gdy więc odwiążecie szarfę, wtedy i dzieciak i jego starszy brat ukazują się zupełnie nadzy. Widziałem, jak to zrobiła pewna matka, a cała operacya przypominała obłupywanie skorupki z jaj gotowanych na twardo.

Kto szuka nadzwyczajnych barw, płomienistych wystaw sklepowych i olśniewających latarni, nie znajdzie nic z tego w wązkich, brukowanych ulicach Nagasaki.

Ale kto żąda sprawnej budowy domów, wzorów doskonałej czystości, wytwornego smaku, świetnego przystosowania rzeczy do potrzeb człowieka, znajdzie to wszystko, a nawet jeszcze więcej. Wszystkie dachy, kryte gontem lub dachówką, są ołowianego koloru, wszystkie zaś fronty domów mają kolor drzewa takiego, jak je Bóg stworzył. Niema tu ani dymu, ani pary, więc przy świetle chmurnego nieba mogłem przeniknąć zarówno do krańca wąziutkiej uliczki, jak do wnętrza siedzib ludzkich.

Opisywano wam wielokrotnie w książkach, w jaki sposób zbudowane są domy japońskie, a zwłaszcza owe rozsuwane. parawany i papierowe przepierzenia; wszyscy znacie historyę tego rzezimieszka z Tokio, który używał tylko dłóta do podważania i wytrycha i skradł spodnie konsula. Ale wszystkie drukowane opisy nie dadzą wam dostatecznego pojęcia o czarującej delikatności sprzętów, które możnaby zburzyć jednem kopnięciem lub połupać na drobniutkie

drzazgi silnem uderzeniem pięści. Naprzykład sklepik pierwszego lepszego b u n n i a *). Sprzedaje w nim ryż, czerwony pieprz, suszone ryby i łyżki z drzewa bambusowego. Front sklepu bardzo mocny. Zbudowany jest z półcalowych tarcic, przybitych jedna przy drugiej. Ani jedna tarcica nie pękła; wszystkie przykrojone w równe kwadraty. Pragnąc przyozdobić tę ponurą barykadę, kupiec pokrył połowę frontowej ściany naoliwionym papierem, oprawionym w ćwierć-calowe ramki. Ani jeden kwadracik papieru nie jest przedziurawiony, ani jedna ramka, w którą w krajach bardzo barbarzyńskich oprawionoby szkło, nie jest skrzywiona. A bunnia, odziany w niebieski szlafrok i grube, białe pończochy, siedzi poza towarami na blado-złocistej macie z giętkiej słomy ryżowej, obrzeżonej czarnym szlakiem. Mata ma dwa cale grubości, trzy stopy szerokości, a sześć stóp długości. Moglibyście przy odrobinie prosięcych instynktów jadać obiady na jakimkolwiek kawałku tej maty. Bunnia opiera rękę na ruszcie z kutego mosiądzu z wyobrażeniem straszliwego smoka, lekko rytowanego na powierzchni. Ruszt pełny jest popiołu, ale na macie niema go ani śladu. Obok leży zielony, skórzany kapciuch, ściągnięty na czerwone jedwabne sznurki i napełniony tytuniem, krajanym cienko, jak nici. Bunnia napełnia długą fajkę, lakowaną na czerwono i czarno, zapala ją od węgli na ruszcie, pociąga dwa razy i fajeczka już wypalona. I znowu niema najdrobniejszego śladu na macie. Poza bunnią widzimy zasło-

---

*) „Bunnia“ znaczy po hindusku kupiec. Należy pamiętać że R. Kipling napisał te listy dla swych rodaków z Indyi.

nę z bambusowej trzciny i paciorków. Łagodzi ona światło pokoju, w którym posadzka jest blado-złocista, a sufit z prostego cedrowego drzewa. W pokoju niema nic, prócz krwawo-czerwonego koca, rozłożonego gładko, niby arkusz papieru. Poza pokojem jest sionka z drzewa tak wypolerowanego, że odbija refleksy ściany z białego papieru. Na końcu sionki stoi karłowata sosenka, widoczna dla bunnii, dwie stopy wysoka, wsadzona w zieloną, lakierowaną doniczkę, obok zaś — gałązka azalii koloru tak samo, jak koc, krwisto-czerwonego, wetknięta w blado-szarą doniczkę. Bunnia postawił je tam dla własnej przyjemności, dla rozkoszy swych oczu, bo je kocha. Biały człowiek nie wpływa na jego upodobania, a przecież bunnia utrzymuje dom w niepokalanej czystości, lubi bowiem porządek: wie, że w nim jest artyzm. Cóżbyśmy mogli powiedzieć takiemu, jak ten bunnia, człowiekowi?

Jego brat z Indyi północnych może mieszkać w domu z frontem podziurawionym i zczerniałym, a jeżeli posadzi cośkolwiek w doniczce, to chyba *tulsi* i to jedynie dla tego, żeby się podobać bogom i swej żonie.

Zaprzestańmy tedy porównania tych dwóch ludzi i posuwajmy się dalej, w głąb Nagasaki.

Z wyjątkiem ohydnych policyantów, którzy uparcie udają Europejczyków, lud nie goni za niewygodnem ubraniem z Zachodu. Młodzi noszą czasem okrągłe filcowe kapelusze; niekiedy kurtki i spodnie albo buty. Wszystko obrzydliwe. Za to w miastach stołecznych strój zachodni jest podobno raczej regułą, niż wyjątkiem. Jeżeli tak jest rzeczywiście, gotów jestem sądzić, że grzechy przodków, którzy misyonarzy jezuickich siekali na kotlety, zostały ukarane w dzisiejszem pokoleniu Japończyków przez częściowe za-

ćmienie ich poczucia artystycznego. Kara wszakże wydaje się cięższą, niż winą.

Potem zachwycały mnie rumieńce na twarzach, uśmiechy tłustych dzieci i nadzwyczajna odrębność wszystkiego, co mnie otaczało. Dziwna to rzecz znaleźć się w kraju wytwornej czystości, a jeszcze dziwniejsza — przechadzać się pośród domów dla lalek. Japonia jest uprzywilejowanym krajem dla ludzi małego wzrostu. Nikt ich nie przewyższa, sami zaś patrzą z góry na kobiety, jak nakazuje słuszność i przyzwoitość. Kupiec zgiął się we dwoje na swym dywanie przed drzwiami, gdy wszedłem do jego sklepu osobliwości, ja zaś doznałem po raz pierwszy w życiu uczucia, że jestem barbarzyńcą, nie zaś prawdziwym Sahibem. Błoto uliczne przywarło grubą warstwą do moich butów, on zaś, właściciel przybytku niepokalanej czystości, prosił, abym po wygładzonej posadzce i białych matach przeszedł do pokoju w głębi. Przyniósł mi matę pod nogi, co jeszcze bardziej pogorszyło sprawę, gdyż jakieś ładne dziewczątko chichotało głośno, przyglądając się z za przepierzenia ćwiczeniom gimnastycznym, wykonywanym przeze mnie. Sklepikarze japońscy nie powinniby przestrzegać do tego stopnia czystości. Przeszedłem potem przez wąziutką sionkę, wyłożoną posadzką, zastałem za nią istne cacko-ogródek z karłowatemi drzewkami, posadzonemi na przestrzeni tak małej, jak połowa tennisa, uderzyłem głową o drzwi i dostałem się do skarbczyka takich cudowności, że mimowoli zniżyłem głos. Kupiec kazał podać bardzo lekkiej herbaty, takiej herbaty, o jakiej piszą w podróżach, i to już dopełniło miary mego zakłopotania. Miałem ochotę powiedzieć mu: „Czcigodna osobo! zanadto jesteś czysty i wykwintny dla tego świata, dom twój nie dla ludzi naszego padołu,

chyba, że się nauczą wielu rzeczy, których mnie nikt nie uczył. A zatem, nienawidzę cię, bo się czuję niższym od ciebie, ty zaś gardzisz mną i mymi butami, uważasz mnie bowiem za człowieka dzikiego. Puść mnie, albo rozwalę nad głową ten drewniany dom cedrowy". Zamiast tego, powiedziałem mu: „O, tak! Bardzo tu pięknie. Bardzo ciekawy rodzaj handlu"...

Kupiec był straszliwym zdziercą; było mi gorąco i nieswojo, dopóki się stamtąd nie wydobyłem na ulicę i nie powróciłem do roli szczerego Anglika, brnącego swobodnie po błocie.

Doszliśmy do stóp wzgórza, przypominającego wzgórze, na którem istnieje Shway Dagon. Ku wierzchołkowi prowadziły olbrzymie schody z szarych, zczerniałych stopni, na których porozstawiano monolityczne torii. Wszystkim wiadomo, co to są torii. Pełno ich w Indyach południowych. Ponad stopniami zwieszały się po obu stronach ciężkie, niebiesko-zielone lub zielono-czarne sosny, stare, sękate i pokręcone. Zbocze góry miało zieleń jaśniejszą, ale przeważała barwa sosen, na której odbijały się szare odzienia ludzi, rozsypanych po stopniach. Nie było blasku słońca, ale pewien jestem, że słońce zepsułoby wszystko. Przez pięć minut drapaliśmy się po schodach — ja, profesor i aparat fotograficzny, a odwróciwszy się, ujrzeliśmy u naszych stóp dachy Nagasaki — ołowiane, brunatne morze, na którem jaśniały tu i owdzie pęki żółtawo-różowych kwiatów wiśni. Na wzgórzach okolicznych pełno było mogił pośród kęp sosen i pierzastych bambusów.

— Co za kraj! — wołał profesor, otwierając aparat. — A czy zauważyłeś, że gdziekolwiek jesteśmy, zawsze się zjawi ktoś, co umie nosić moje narzędzia? Woźnica w Moulmein trzymał mi diafragmy; poczci-

wy chłopiec z Penang znał także wszystko, co potrzeba, a popychacz fotela na kółkach widział już aparaty fotograficzne. Ciekawe, co?

— Profesorze! — odrzekłem — nie jesteśmy jedynym narodem na świecie. Spostrzegłem to już w Hong-Kongu. Teraz rozumiem sprawę coraz lepiej. Nie zdziwię się, gdy z czasem zejdziemy do rzędu zwyczajnych istot ludzkich.

Weszliśmy na dziedziniec, na którym bronzowy koń patrzał złowrogo na kamienne lwy, a gromadka dzieci bawiła się wokoło niego. Ten koń bronzowy ma swą legendę, wyjaśnioną w przewodnikach. Najprawdziwsza jednak historya opiewa, że dawno już został wykuty z kości mamuta syberyjskiego przez Prometeusza japońskiego, że ożył i oźrebił się, a jego liczne potomstwo odznacza się rażącem podobieństwem do swego rodzica. Długie lata zatarły w nim ślady kości słoniowej, ale kość ta przebija jeszcze w żółtawej grzywie i ogonie. Wielki kałdun i zdumiewające kopyta tego konia z bronzu spotkać jeszcze można u koni pociągowych w Nagasaki, tych koni, co mają juki, przybrane aksamitem i czerwoną tkaniną, a na tylnych łapach — trzewiki, jak konie występujące w pantominach cyrkowych.

Nie mogliśmy wejść poza obręb dziedzińca, albowiem napis na ścianie opiewał: „Nie wolno wchodzić”. Z całej zatem świątyni obejrzeliśmy wysokie dachy, pokryte poczerniałem poszyciem, które spuszczały się falisto stopniami i ginęły wśród liści. Japończycy igrają ze słomą, jak my z gliną do modelowania; ale w jaki sposób lekkie krokwie mogą utrzymać podobny ciężar dachu, jest to tajemnicą dla oka profanów.

Zeszliśmy po schodach do herbaciarni.

— Trzeba zdjąć buty — oznajmił Y-Tokai.

Mogę was zapewnić, że trudno zachować powagę, gdy człowiek siedzi na schodach herbaciarni i szamocze się z zabłoconymi butami. I trudno mieć wytworne maniery, gdy się chodzi w samych tylko pończochach i gdy podłoga jest gładka, jak szkło, a ładna dziewczyna pyta, gdzie chcesz jeść śniadanie. Weźcie przynajmniej ze sobą, gdy tu przyjedziecie, parę ładnych skarpetek ze skóry sambhur lub z haftowanego jedwabiu, abyście nie pokazali się, jak ja w bronzowych tanich skarpetkach, z cerami na piętach, gdym próbował rozmawiać z dziewczętami.

Wprowadziły nas trzy, wszystkie ładne i świeże, do pokoju, w którym rozpostarto skórę złotawo-brunatnego niedźwiedzia. Tokonoma*) za całe umeblowanie miała obrazek, przedstawiający nietoperzy wirujących wśród zmierzchu i bambusową żardinierkę z żółtymi kwiatami. Sufit wyłożony był gładkiem drzewem, z wyjątkiem wązkiego paska przy oknie, ozdobionego plecionką z wiórów cedrowego drzewa, oddzieloną od reszty sufitu brunatnym bambusem tak wygładzonym, jakby był pociągnięty laką. Lekkie dotknięcie usunęło na bok ścianę i weszliśmy do obszernego pokoju, gdzie była również tokonoma, oprawiona z jednej strony w listwy cztery lub pięć łokci długości z nieznanego gatunku drzewa, mającego takie same słoje, jak „bambus z Penangu", u góry zaś — przybrana odartą z kory gałęzią osobliwego kształtu. W tej drugiej tokonoma stał jedynie perłowo-popielaty wazon i nic więcej. Dwie ściany pokoju były z naoliwionego papieru, a złączenia belek pokryto mosiężnymi kra-

---

*) Tokonoma jest to rodzaj niszy, która się znajduje w każdej herbaciarni japońskiej.

tami pół naturalnej wielkości. Z wyjątkiem progu tokonomy, zrobionego z czarnej laki, wszędzie drzewo naturalne, bez skazy. Poza tem znajdował się ogródek, opasany płotem z karłowatych sosenek, przyozdobiony kwitnącem drzewem wiśni i maleńką sadzawką, z wygładzonymi i zapuszczonymi w ziemię kamieniami.

Pozostawiono nas samych w tym raju czystości i piękna, a ponieważ byłem jedynie Anglikiem, pozbawionym wstydu i butów (biały człowiek czuje się zawsze poniżony, gdy jest boso), krążyłem około ścian, dotykając wszystkich parawanów. Dopiero, gdy się zatrzymałem dla obejrzenia niewidzialnej prawie klamry, spinającej ściany, spostrzegłem, że jest to inkrustacya, na której przedstawiono dwa białe żórawie, pożerające rybę. Całość miała około trzech cali kwadratowych i w zwykłych warunkach nie zwróciłbym na nią wcale uwagi. Parawany służą za szafy; chowają za niemi wszystkie lampy, świeczniki i poduszki całego domu. Naród wschodni, który umie utrzymać porządek w szafie, godzien jest, aby mu oddać pokłon do samej ziemi. Wszedłem po schodach z surowego drzewa i laki do pokojów przedziwnie pomyślanych, z okrągłemi oknami, nie dającemi żadnego widoku i zaplecionemi bambusową siatką dla rozkoszy wzroku. Korytarze z ciemnego drzewa lśniły się, jak lód, a ja czułem się upokorzony.

— Profesorze — rzekłem—ci ludzie nie plują, nie jedzą, jak prosięta, nie kłócą się, a człowiek pijany stoczyłby się z każdego domu po pochyłości wzgórza na sam dół Nagasaki. Oni chyba nie mają dzieci.

Urwałem. Na dole roiło się przecież od dzieci!

Dziewczęta przyniosły herbatę w filiżankach z niebieskiej porcelany i ciastka na miseczce z czerwonej

laki, ciastka, jakie znaleźć można w kilku zakładach w Simla. Zasiedliśmy niezgrabnie na czerwonych dywanach, rozłożonych na matach, i podano nam pałeczki do krajania ciastka. Było to niełatwe zadanie.

— Czy to wszystko? — burknął profesor. — Głodny jestem, a herbata i ciastka nie wystarczą do czwartej po południu.

I ukradkiem chwycił palcami kawałek ciastka.

Służące powróciły — tym razem było ich pięć — z tacami z czarnej laki, rozmiaru stopy kwadratowej, a wysokości czterech cali. Miały to być stoliki dla nas. Dziewczęta przyniosły także miseczkę z czerwonej laki, pełną ryby ugotowanej w słonej wodzie, oraz morskie anemony. Papierowa serwetka, owiązana złotą nitką, zawierała nasze pałeczki; a na małym płaskim spodeczku leżał wędzony rak, plasterek czegoś podobnego do puddingu z Yorkshire, a mającego smak słodkiego omletu i zwinięty kawałek czegoś przezroczystego, co było niegdyś istotą żyjącą, a potem zostało zamarynowane. Służące odeszły, ale nie z pustemi rękoma, albowiem ty, O-Toyo, uniosłaś z sobą moje serce, to samo serce, które oddałem był poprzednio dziewczynie birmańskiej w świątyni Shway-Dagonu!

Profesor otworzył oczy ze zdziwieniem, lecz nie mówił nic. Pałeczki pochłaniały całą jego uwagę, a powrót dziewcząt odebrał mu resztę przytomności. O-Toyo, z hebanowym włosem, różanemi licami, podobna do laleczki z delikatnej porcelany, śmiała się ze mnie, gdyż zjadłem wszystek sos musztardowy, podany przy rybie, i płakała rzewnemi łzami, dopóki mi nie dała napić się *sake* ze wspaniałej flaszki, około czterech cali wysokiej. Jeżeli chcecie wiedzieć, co to jest sake, zagrzejcie bardzo lekkiego wina reńskiego z korzeniami i wypijcie je napół ostudzone. Dano

mi tego napoju w tak małym kubku, że ośmieliłem się prosić o napełnienie go osiem czy dziesięć razy z rzędu, co nie wpłynęło bynajmniej na ochłodzenie moich uczuć dla O-Toyo.

Po surowej rybie i musztardowym sosie dostaliśmy inny gatunek ryby gotowanej ze smażonemi rzodkiewkami, a ześlizgującej się łatwo z pałeczek. Dziewczęta poklękały w półkole i wykrzykiwały radośnie na widok niezgrabności profesora, boć nie ja wywróciłem stół obiadowy śród daremnych wysiłków jedzenia z wdziękiem. Po młodych pędach bambusowych podano salaterkę bardzo smacznej białej fasoli ze słodkim sosem. Ale spróbujcie donieść fasolę do ust za pomocą dwóch kościanych drutów, a zobaczycie, co się stanie. Kurczęta wybornie ugotowane z rzepą, miska śnieżno-białej ryby bez ości, oraz odrobina ryżu, zakończyły ucztę. Zapomniałem jednego lub dwóch dań, ale gdy O-Toyo podała mi małą fajeczkę lakową, napełnioną tytuniem, naliczyłem dziewięć potraw na tacy, a każda potrawa stanowiła oddzielne danie. Wówczas ja i O-Toyo paliliśmy fajkę na przemian.

Moi szanowni przyjaciele ze wszystkich klubów, czy się wam kiedy zdarzyło wyciągnąć na poduszkach po dobrym obiedzie i palić fajkę, którą nakłada czarująca dziewczyna, a cztery inne wielbią was w nieznanym języku? Jeżeli nie, to nie macie pojęcia, co to jest życie. Obejrzałem się po tym wzorowo czystym pokoju, popatrzyłem na karłowate sosny i wiśniowe kwiaty, na O-Toyo, duszącą się od śmiechu dla tego, że wypuszczałem dym nosem, wreszcie na szereg dziewcząt z „Mikada", siedzących przed nami na brunatnej skórze niedźwiedziej. Było tu tyle barw, kształtów, wygody, sytości i piękna, że możnaby patrzeć na to przez pół roku. Nie chcę już być Birmań-

czykiem w drugiem życiu. Chcę być Japończykiem — naturalnie, zawsze z O-Toyo przy boku—i mieszkać w domu cudnie umeblowanym na zboczu wzgórza, pachnącego kamforą.

— Swoją drogą — westchnął profesor — są miejsca, w których się gorzej żyje i umiera. Ale wiesz, że nasz statek odchodzi o czwartej? Każmy podać rachunek i jazda!

Pozostawiłem tedy moje serce przy O-Toyo, pod sosnami. Może je odnajdę w Kobe...

LIST II

Dalsze badania Japonii.—Morze Wewnętrzne i dobra kuchnia. Tajemnica paszportów i konsulatów oraz niektóre inne rzeczy.

O, jakże słowo pisane jest niedokładne! Miałem wam tyle do opowiedzenia o Nagasaki i kondukcie pogrzebowym, który spotkałem na ulicy. Należało wam powiedzieć cośkolwiek o biało odzianych niewiastach, które opłakiwały nieboszczyka, zamkniętego w drewnianej lektyce; i o tem, jak ta lektyka kołysała się na ramionach ludzi, podczas gdy kapłan buddyjski, odziany w szaty bronzowe, kroczył na czele, a gromada chłopaków biegła po bokach konduktu. Przygotowałem już w głowie zapas refleksyi moralnych, poglądów na położenie polityczne oraz całkowitą rozprawę o przyszłości Japonii. Teraz zapomniałem już wszystko, z wyjątkiem pięknej O-Toyo w ogrodzie herbaciarni.

Z Nagasaki płyniemy na parowcu „P. and O." *) do Kobe przez morze Wewnętrzne. To znaczy, że przez dwadzieścia godzin będziemy pędzili przez olbrzymie jezioro, zasiane, jak okiem sięgnąć, niezliczoną

---

*) P. and O." znaczy towarzystwo żeglugi morskiej „Peninsular and Oriental".

liczbą wysepek różnej wielkości, od takich, które posiadają czteromilową powierzchnię do maleńkich pagórków, nie większych od dobrego stogu siana. Panowie Cook i Syn każą sobie płacić po sto rupii więcej za przejazd po tej części świata, ale nie mogą wziąć w dzierżawę tych cudów natury. Widok tych wysepek — czerwonych, bursztynowych, szarych, zielonych i czarnych — wart jest pięć razy tyle. Od pół godziny siedzę w grupie wrzaskliwych turystów, którzy się zastanawiają, w jaki sposób zdołam dać wam o nim wyobrażenie. Turystów żadną miarą opisać nie podobna. Co trzydzieści sekund wołają: „O!” a po pięćdziesięciu minutach mówią jeden do drugiego: „Czy nie uważa pan, że oglądamy wciąż to samo?” A potem grają w piłkę, dopóki nie przerwie im znowu krajobraz nadzwyczajnie piękny i nie wywoła ponownego okrzyku: „O!” Gdy statek przepływa po wązkich przesmykach, widzę, jak bałwany skaczą na dziesięć stóp ponad szczytami skał, pomimo, że morze jest spokojne.

Wpływamy na obszerniejszą powierzchnię, tak gęsto nasadzoną wysepkami, że całość wygląda, jak stały ląd. Pędzimy po wzburzonej wodzie, skotłowanej przez wiry, co się utworzyły wokoło skał; grozi nam nadzianie się na rafy. Ktoś nas ocala na pomoście i płyniemy znów ku drugiej wyspie i tak dalej i dalej, aż nareszcie oczy nużą się patrzeniem na dziób statku, wykręcającego się to w prawo, to w lewo, a istota ludzka, która nie może przecież powtarzać wciąż „O!” przez cały mroźny wieczór, opuszcza pokład. Jeżeli przyjedziecie kiedy do Japonii — można to zrobić w przeciągu trzech, a nawet dwóch i pół miesięcy—płyńcie po tem morzu, a przekonacie się sami, jak prędko zachwyt ustępuje zdziwieniu, a zdziwienie obojętności.

Wieziemy ostrygi z Nagasaki, myślę więc bardziej o tem, jak je podadzą na obiad, niż, jak wygląda wysepka, która się przemknęła nakształt widma na szaro-srebrnej wodzie, pieszczonej promieniami księżyca. Tak, jest to morze pełne tałemnic i legend. Widzę jednak, że służący przyrządza ostrygi na talerzach, zamiast je podać na muszlach i wszystkie piękności skał, wyrzeźbionych przez wodę, nie zdołają mnie pocieszyć. Mamy dziś siedemnastego kwietnia, a ja siedzę w paltocie, owinięty w koc i palce mam tak zgrabiałe, że z trudem utrzymać mogę pióro. Spieszę więc zapytać, jak funkcyonują wasze termantydoty *), i biegnę co żywo do moich ostryg.

W dwa dni później. List ten pochodzi z Kobe (trzydzieści godzin od Nagasaki), którego europejska dzielnica ma pozór miasta całkiem amerykańskiego. Szliśmy szerokiemi, pustemi ulicami, pomiędzy domami o drewnianych, koryndkich kolumnach, drewnianych werendach i arkadach, — wszystko szare, pod szarem niebem, trzymającem straż przy zielonych sosenkach, którym kazano dawać cień. Kobe na zewnątrz jest miastem ohydnie amerykańskiem. Nawet ja, co oglądałem Amerykę na rycinach jedynie, poznałem odrazu, że to Portland lub Maine. Miasto położone jest śród wzgórz, ale wzgórza te są wszystkie oskalpowane. Zanim jednak pójdę dalej, pozwólcie mi wygłosić pochwały na cześć nieocenionego p. Bégueux, właściciela hotelu „Oriental", któremu niech los sprzyja! W zakładzie jego można przynajmniej zjeść obiad. Nie po-

---

*) Termantydot jest to rodzaj wodnego wentylatora, używanego w Indyach, gdzie w tym sezonie jest bardzo gorąco.

przestaje na nakarmieniu swych gości. Kawa jego jest kawą pięknej Francyi. Do herbaty dodaje ciastka z Peliti, a „zwyczajne wino", którego się oddzielnie nie dolicza, jest wcale niezłe. Zacni państwo Bégueux! Gdyby Pioncer był pośrednikiem reklamy, napisałbym wstępny artykuł o waszej sałacie z kartofli, o waszych befsztykach, smażonych rybach i waszym sztabie służących japońskich, co noszą niebieskie trykoty, są po mistrzowsku wytresowane, wyglądają jak Hamleciki bez płaszczów jedwabnych i uprzedzają żądania gości. Nie, to byłby cały poemat, ballada o świetnej kuchni. Jadałem w „Orientalu" w Penangu wyśmienite karpie; tęsknię jeszcze dziś do befsztyków z żółwia, jakie jadłem w „Raffles" w Singapurze; w hotelu „Victoria" z Hong-Kongu ufetowano mnie wątróbkami z drobiu i prosiętami, które zawsze sławić będę. Ale „Oriental" w Kobe wart więcej, niż wszystkie te trzy zakłady. Zapamiętajcie to sobie.

Z Kobe do Nagasaki jedziemy rzemiennym dyszlem. Potrzebujemy paszportu, gdyż podróżujemy wewnątrz kraju. Używamy kolei żelaznej, która dość często zrywa się pośrodku, i porzucamy tę kolej nieustannie. Trwa to przez dwadzieścia dni i naraża nas na osiemdziesiąt kilometrów podróży w fotelach na kółkach, na jazdę po jeziorze i pluskwy. Notabene. — Gdy przyjedziecie do Japonii, zatrzymajcie się w Hong-Kongu i napiszcie list do „Ambasadora w Tokio", jeżeli chcecie podróżować wewnątrz tego cudownego kraju. Oznaczcie, jaką chcecie marszrutę, ale dla własnego dobra wymieńcie dwa krańcowe punkty, do których chcecie dojechać. Dodajcie jakiekolwiek szczegóły o swym wieku, rzemiośle, kolorze włosów i o wszystkiem, co wam przyjdzie do głowy, i zażądajcie, aby złożono wasz paszport w konsulacie brytań-

skim w Kobe. Dajcie dostojnej osobie urzędowej tydzień na przygotowanie paszportu, a oddadzą go wam zaraz po wylądowaniu. Piszcie jednak czytelnie, jeżeli chcecie ocalić swą próżność. Moje papiery wypisano na nazwisko „Radjer Kyshrig".

I tu, jak w Nagasaki, miasto przepełnione małemi dziećmi i tak, jak tam, uśmiechają się wszyscy, z wyjątkiem Chińczyków. Nie lubię Chińczyków. W rysach ich twarzy dostrzegłem coś, czego zrozumieć nie mogłem.

— Chińczyk — zauważyłem — przypomina naszych tubylców hinduskich. Japończyk nie jest nim, ale nie jest także Sahibem. Czemże jest właściwie?

Profesor popatrzył przez chwilę na rojną ulicę.

— Chińczyk jest starcem od młodości, zupełnie jak Hindus; Japończyk zaś jest dzieckiem przez całe życie. Pomyśl, jak wyglądają starsi pośród dzieci. Ten wygląd właśnie drażni cię.

Nie mogę powiedzieć, że profesor ma zupełną słuszność, ale zdaje mi się, że mówił prawdę. Jak świadomość złego i dobrego wycisnęła swe piętno na twarzach dojrzałych ludzi z naszej rasy, tak samo coś niezrozumiałego dla mnie napiętnowało twarze Chińczyków. Posiadali z tłumem tylko taki związek, jaki może mieć człowiek dorosły z dziećmi.

— To wyższa rasa—objaśnił profesor tonem etnologa.

— Nie wierzę. Nie umieją się weselić — odparłem bez wahania. — W każdym razie sztuka ich nie ma w sobie nic ludzkiego.

— Mniejsza o to — zawołał profesor. — Oto sklep pełen zabytków starej Japonii. Wejdźmy.

Weszliśmy, a swoją drogą chciałbym, aby mi kto wytłomaczył kwestyę chińską. Samemu trudno ją rozwiązać.

Zdjąwszy kapelusze, weszliśmy do sklepu starożytności przez wązkie przejście między rzeźbionemi kamiennemi latarniami i drewnianymi posągami niewypowiedzianie ohydnych dyabłów, a przyjął nas uśmiechnięty człowieczek, który posiwiał pośród netsuke i wyrobów lakowych. Pokazał nam sztandary i godła zmarłych oddawna daimiosów, my zaś otworzyliśmy z podziwem usta. Pokazał nam poświęconego żółwia wielkości mamuta, wyrzeźbionego z najdrobniejszymi szczegółami w drzewie. Prowadził nas z pokoju do pokoju, a światło przygasało coraz więcej, aż doszliśmy do maleńkiego ogródka, otoczonego drewnianem ogrodzeniem. Starożytne zbroje spoglądały na nas w mroku, stare szable dźwięczały, potrącane przez nas, dziwne kopciuchy, równie stare, jak miecze, kołysały się na niewidzialnych podpórkach, a oczy dwudziestu poniszczonych Buddów i czerwonych smoków rzucały na nas płomienne spojrzenia poprzez uroczyste szaty ze złocistej brokateli. Radość posiadania jaśniała w oku właściciela. Starzec pokazywał nam swe skarby — od kryształowych kul oprawnych w drzewo aż do cudnych pudełek, wypełnionych rzeźbami z kości słoniowej i drzewa, a my czuliśmy się tak bogaci, jakbyśmy byli posiadaczami tego wszystkiego. Na nieszczęście, jedynym śladem imienia artysty bywa maleńki znaczek japoński, nie mogę więc powiedzieć, kto dał pomysł i wyrzeźbił z kości słoniowej te wszystkie dzieła: człowieka oplątanego straszliwie przez sepię i kapłana z żołnierzem, który dźwiga dlań jelenia; chudego i wyschniętego węża, owiniętego szyderczo na trupiej głowie; rabelais'owskiego borsuka, który stał dęba i wywoływał w nas rumieńce, chociaż miał pół cala długości; albo chłopca, okładającego swego małego braciszka; albo królika, który tylko co dopuścił się nie-

przystojnego żartu; wreszcie mnóstwo innych szkiców, zrodzonych z wesołości, szyderstwa, doświadczenia. Tą samą ręką, na której trzymałem z pół tuzina tych figurek, oddałem pokłon cieniom zmarłego rzeźbiarza.

Anglik jest to dziwne zwierzę. Kupuje tuzinami te rzeczy, wstawia je do przeładowanej gablotki, gdzie wyglądają jak nieznaczne plamy z kości słoniowej, i zapomina o nich po tygodniu. Japończyk — trzyma je w pudełku z laki lub w głębi jedwabnego woreczka, dopóki nie zejdzie się do niego kilku przyjaciół na herbatę. Wtedy wydobywa te skarby z ukrycia i oglądają je wszyscy okiem znawców, przy tłumionym śmiechu i brzęku filiżanek, poczem wracają one do swego schronienia, dopóki nie przyjdzie znów chęć do oglądania. W taki to sposób cieszą się tem, co my nazywamy osobliwościami. W Japonii każdy człowiek, mający nieco pieniędzy, jest zbieraczem, ale nie znajdziecie mnóstwa „rzeczy" na wystawach najlepszych sklepów.

Długo przebywaliśmy w półświetle tego przybytku, a gdyśmy wyszli, ubolewaliśmy ponownie, że taki naród otrzymał „Konstytucyę", że co dziesiąty młodzieniec nosi tam europejskie ubranie, że w porcie Kobe istnieje biały pancernik, a po ulicach uwijają się tuzinami krótkowzroczni porucznicy w workowatych mundurach.

— Ileżbyśmy zyskali — mówił profesor — gdyby można ustanowić międzynarodowy protektorat nad Japonią, aby ją zabezpieczyć od groźby najazdu i zaboru, i płacić temu krajowi, ile zażąda, pod warunkiem jedynie, że ludność będzie siedziała spokojnie i wyrabiała piękne rzeczy, podczas gdy nasi ludzie będą się uczyli. Gdybyśmy mogli całe cesarstwo japoń-

skie włożyć pod szklany klosz i napisać na nim: „Hors Concours", Exhibit A.

— Hu! — mruknąłem. — A co to znaczy „my?"

— No, my wogóle, Sahibowie całego świata. Niektórzy z naszych rzemieślników mogą w niektórych specyalnościach wykonywać prace równie dobre, ale niema przecież w Europie całych miast, zamieszkanych przez ludzi czystych, zdolnych, delikatnych, pomysłowych.

— Jedźmy więc do Tokio i pogadajmy o tem z cesarzem — odparłem.

— Ale zajdźmy przedtem — radził profesor — do teatru japońskiego. Zawcześnie jeszcze w podróży podnosić poważne kwestye polityczne.

LIST III

Teatr japoński i historya Grzmiącego Kota. Również opowieść o niektórych spokojnych miejscowościach i o człowieku zmarłym na ulicy.

Szliśmy do teatru po błocie i deszczu. Wewnątrz sali było niemal ciemno, gdyż granatowe szaty widzów wchłaniały skąpe światło naftowych lamp. Nie było nigdzie miejsca do stania, chyba obok policyanta japońskiego, który dla pilnowania moralności i lorda szambelana posiadał do swego rozporządzenia kącik na galeryi i trzy krzesła. Miał on wzrostu około czterech stóp i ośmiu cali, a ręce skrzyżował na piersiach niemal tak dramatycznie, jak Napoleon na wyspie św. Heleny. Zaczął szemrać — bo, jak sądzę, obraziliśmy zasady konstytucyi — a potem zgodził się ofiarować nam miejsce, za co otrzymał cygaro birmańskie. Sala składała się z parteru, zawierającego pięćdziesiąt rzędów, po pięćdziesiąt miejsc w każdym, oraz szeregi dzieci po bokach, i z galeryi, mogącej pomieścić tysiąc dwieście osób. Budynek był zbudowany w taki sam delikatny pudełkowy sposób, jak zwyczajne domy: sufit, podłoga, belki, podpory, balkony i przepierzenia, wszystko było z gołego drzewa, a połowa widzów paliła maleńkie fajeczki i co dwie minuty wysypywała z nich popiół. Zdjęła mnie chęć ucieczki;

śmierć całopalna nie wchodziła w program podróży, ale niepodobna było wydostać się przez jedyne małe drzwiczki, w których podczas antraktów sprzedawano marynowane ryby.

— Tak, niezbyt tu bezpiecznie — zauważył profesor, gdy wokoło nas i pod nami zaczęły trzaskać i błyskać zapałki. — Ale jeżeliby się zajęła kurtyna, lub gdybyśmy zobaczyli, że galerya zaczyna się palić, wysadzimy jednem kopnięciem tylną ścianę przy bufecie i pójdziemy spokojnie do domu.

Po tych pocieszających wyrazach rozpoczął się dramat. Zielona zasłona opadła na dół i została sprzątniętą. Trzech zaś panów i jedna dama rozpoczęli fetę dyalogiem. Ubrania ich były takie, jakie widujemy na japońskich wachlarzach. Prawdziwi Japończycy podobni są naturalnie do zwykłych mężczyzn, ale Japończycy na scenie, w sztywnych materyach jedwabnych, są zupełnie tacy, jak Japończycy na rysunkach. Kiedy cała czwórka usiadła, uwijał się między nimi mały chłopczyk i przyprowadzał do porządku draperye, poprawiając w jednem miejscu węzły u szarfy, w drugiem—fałdy sukni. Kostyumy były równie wspaniałe, jak intryga niezrozumiała. Ale nazwaliśmy sztukę „Grzmiącym Kotem".

Człowiek z dwoma mieczami, ubrany w czarną i złocistą materyę, powstał i naśladował ruchy nieznanego aktora, noszącego imię — Henryk Irwing; nie wiedząc, że brał rzecz na seryo, zacząłem się głośno śmiać, aż policyant japoński spojrzał na mnie surowo. Potem człowiek z dwoma szablami, rozpoczął zaloty do damy z wachlarza japońskiego, podczas gdy inni czynili uwagi nad nim na wzór starożytnego chóru greckiego, dopóki coś — zapewne jakieś niewłaściwe słowo — nie wywołało zamieszania, poczem wszyscy zaczęli walczyć

ze sobą przy dźwiękach orkiestry, złożonej z jednej gitary i czegoś, co wydawało klekot. Kiedy ci ludzie nawalczyli się dostatecznie, chłopczyk odebrał im broń, a uważając, że sztuka potrzebuje więcej światła, przyniósł trzcinę bambusową, dziesięć stóp długą, z osadzoną na wierzchołku świecą i trzymał to narzędzie w odległości jednej stopy od twarzy męża z dwoma mieczami, śledząc jego ruchy wzrokiem dziecka, któremu powierzono maszynę do pisania. Potem dama z wachlarza japońskiego uległa zalotom człowieka o dwóch mieczach i z wybuchem dyabelskiego śmiechu przemieniła się w ohydną starą babę. Chłopiec zdjął jej perukę, sama zaś zrobiła resztę. W tej straszliwej chwili Grzmiący Kot, t. j. kot, który wywodzi swój ród z obłoków, cały wyzłocony, zsunął się po drucie ze sklepienia, a chłopiec z borsuczym ogonem zaczął szydzić z człowieka z dwoma mieczami. Zrozumiałem wtedy, że człowiek z dwoma mieczami obraził Kota i Borsuka i że za to odpokutuje, bo te dwa zwierzęta, oraz lis, są czarownikami. Nastąpiły różne okropności, a dekoracye zmieniały się co pięć minut. Najsilniejszy efekt sprawił podwójny rząd świec, zawieszonych na sznurkach poza zieloną gazą, rozwieszoną na ścianie, i kołysanych gwałtownie w różne strony. Prócz pojęcia nadziemskości wywołało to u jednego z widzów gwałtowny napad morskiej choroby.

Ale człowiek z dwoma szablami był daleko nieszczęśliwszy ode mnie. Złośliwy Grzmiący Kot rzucił na niego jakieś czary, których wcale już pojąć nie mogłem. Pojawił się na scenie król szczurów ze wzdętymi policzkami i w towarzystwie innych szczurów zaczął zajadać zaczarowaną rzodkiewkę, pobudzając tem do szalonego śmiechu. Potem przemienił się w człowieka. Wówczas Grzmiący Kot zamienił go w bez-

władną masę, którą oświetlił chłopiec ze świecą na trzcinie, a odzyskał on władzę dopiero za wdaniem się cudownej papugi. Przemienił się wtedy w młodą dziewczynę, ale gdy się ukrył za parasolem, wrócił do dawnych kształtów. Zasłona opadła, a widzowie zaczęli swobodnie krążyć po scenie. Mały jakiś chłopczyna postanowił wywijać koziołki od budki suflera w głąb sceny. Nikt na niego nie zwracał uwagi, więc zabrał się poważnie do dzieła, ale stoczył się na bok, wierzgając tłustemi nóżkami. Nasi sąsiedzi z galeryi nie mogli pojąć, dla czego profesor i ja śmiejemy się do rozpuku, kiedy inne dziecko, trzymając w rękach zamiast broni drewniane sandałki, zaczęło naśladować wspaniałe ruchy człowieka z dwoma mieczami. Aktorowie zamienili się w publiczność, dlaczegożby więc nie wolno było każdemu, kto miał ochotę, pomagać do zmian dekoracyi, dla czego dziecko nie miałoby się zabawić?

Wyszliśmy po chwili. Grzmiący Kot znów rozpoczął swe prześladowania człowieka o dwóch szablach, ale nazajutrz wszystko miało być przyprowadzone do porządku. Dużo jeszcze było do zrobienia, lecz sprawiedliwości stać się miało zadość. Tak nas przynajmniej objaśnił człowiek, sprzedający marynowane ryby i bilety.

— Dobra szkoła dla młodego aktora — zauważył profesor — zobaczyłby, jak wygląda naturalny rozwój oryginalności artystycznej, pozostawionej samej sobie. Jest w tem sztuczność i maniera teatru angielskiego, trzydzieści razy powiększona, ale doskonale widoczna. W jaki sposób zamierza ją pan opisać?

— Opera komiczna przyszłości nie jest jeszcze napisana—odpowiedziałem pompatycznie.—Jest dla niej miejsce pomimo „Mikada". Borsuk nie wszedł jeszcze

na scenę angielską i nie używają jeszcze masek artystycznych, jako akcesoryów dramatu. Spróbujcie wyobrazić sobie „Kota Grzmiącego", jako tytuł opery seryo-komicznej. Zacznijcie od kota domowego, opętanego przez moc czarodziejską i mieszkającego w domu londyńskiego handlarza herbaty, który go kopie. Proszę się zastanowić nad tem...

— Późna godzina — odpowiedziano mi chłodno.— Jutro pójdziemy pisać opery w poblizkiej świątyni.

Nazajutrz padał drobny, przejmujący deszcz. Słońca, mówiąc nawiasem, nie widzieliśmy od trzech tygodni. Zaprowadzono nas w Kobe do głównej świątyni, której nazwy zapomniałem. Rozpaczliwa to rzecz stać przed ołtarzami kultu, o którym się niema najmniejszego pojęcia. Istnieją rytuały i ceremonie wierzeń hinduskich, o których każdy czytał nawet cośkolwiek, ale w jaki sposób modlą się ci, co zwracają tutaj oczy ku Buddzie, jaką cześć oddają ołtarzom Szynto? Księgi mówią jedno, oczy zaś co innego.

Świątynia wyglądała na klasztor, na przybytek wielkiego pokoju, przerywanego jedynie szczebiotem gromady dzieci. Stała ona w głębi ulicy za potężnym murem, pod nieregularną masą spadzistych dachów, złączonych fantastycznie u szczytu, miedziano-zielonych tam, gdzie poszycie zgrzybiało od starości, a ciemno-szarych tam, gdzie były dachówki. Pod samą rynną szczytu, człowiek, który wierzył w Boga, a więc zdolny był do wykonania dobrze pracy, wyrzeźbił w drzewie swoje serce, rozkwitające, czy też wybuchające żywymi płomieniami. Gdzieś na krańcach miasta Lahoru znajduje się podobna mieszanina grobów i mu-

rów klasztornych, nazwana Chubara Chadżu Bhagat, zbudowana niewiadomo kiedy, a kiedy runie w gruzy, o to także nikt się nie troszczy. Chociaż świątynia ta była szeroką i czystą—bez skazy zarówno wewnątrz, jak zewnątrz, milczenie i pokój w niej przypominały dziedzińce dalekiego Pendżabu. Kapłani porobili ogródki w narożnikach murów, ogródki, może czterdzieści stóp długie, a dwadzieścia szerokie, a każdy z nich, choć różnił się od sąsiedniego, miał maleńką sadzawkę ze złotemi rybkami, jedną lub dwie kamienne latarnie, odłamek skały, płaskie kamienie z napisami i wiśniowe lub brzoskwiniowe kwitnące drzewo.

Wyłożone kamieniem drogi przerzynały dziedziniec i łączyły ze sobą budynki. W wewnętrznem ogrodzeniu, tam, gdzie był najładniejszy z ogródków, stała złocona tablica, około dwunastu stóp wysoka, a na niej wykuta z bronzu płaskorzeźba — postać bogini w powiewnych szatach. Przestrzeń pomiędzy chodnikami zasypana była śnieżno-białymi kamykami, a na ich białem tle napisano na ziemi: „O szczęście!" Można to sobie wytłomaczyć, jak kto chce — jako westchnienie ulgi, lub jako okrzyk rozpaczy.

W świątyni, do której wchodzi się po drewnianym moście, było prawie ciemno, ale można jeszcze było rozpoznać wspaniałe złocenia, jedwabne makaty i malowane parawany. W drugim rzędzie, ukryty poza mnóstwem różnorodnych wspaniałości, stał szereg dobrze mi znanych posągów ze złotemi koronami na głowach. Nie spodziewałem się znaleźć na tak dalekim wschodzie Japonii bożków indyjskich — Krysznę, złodzieja masła, i Kali, okładającą swego małżonka.

— Co to jest?

— To także bogowie — objaśnił mnie młody kapłan, szydzący wzgardliwie ze swej religii, gdy był

o nią zagadnięty. — Są to bardzo starzy bogowie. Dostali się tutaj dawnymi czasy z Indyi, ale nie wiem, po co ich tu trzymają...

Nienawidzę ludzi, którzy się wstydzą swojej wiary. Była jakaś historya, związana z tymi posągami, ale kapłan nie chciał mi jej opowiedzieć; uśmiechnąłem się wzgardliwie i poszedłem dalej. Chodnik prowadził ze świątyni prosto do klasztoru, który był zbudowany z delikatnych skrzydeł parawanu, wypolerowanych posadzek i sklepień z brunatnego drzewa. Nie było słychać nic prócz odgłosu naszych kroków, dopiero dalej w głębi usłyszałem ciężki oddech za parawanem. Kapłan usunął ściankę i ujrzeliśmy poza nią bardzo starego kapłana, drzemiącego nad piecykiem do ogrzewania rąk. Ten widok sam już stanowił obrazek. Kapłan w oliwkowo-zielonej szacie, z łysą głową, otoczoną resztkami srebrnych włosów, siedział przed parawanem z białego, naoliwionego papieru, przepuszczającego łagodne, przyćmione światło. Po prawej stronie stał pogarbiony stoliczek z czarnej laki, a na nim — tusz i pendzelki. Jeszcze dalej, na prawo stał bladożółty, bambusowy stoliczek, z popękanym wazonem z oliwkowo-zielonawej gliny, a w nim tkwiła gałązka prawie czarnej jodły. Nie było tu kwiatów. Kapłan był za stary na nie. Poza ciemnym obrazem, stał wspaniały, buddyjski ołtarzyk — złoto i purpura.

— Codzień maluje on nowy motyw do tego ekranu — objaśnił młody kapłan, wskazując na starca i na białą tablicę na ścianie.

Starzec uśmiechnął się żałośnie, potarł czoło i podał mi wykończone dziś malowidło. Przedstawiało ono zalew gruntu, pokrytego skałami; dwóch ludzi na łódce ratowało dwóch innych, siedzących na drzewie, do połowy zatopionem w wodzie. Nawet ja mogłem zauwa-

żyć, że talent opuścił już artystę. Musiał on dawniej malować dobrze, gdyż jedna z postaci, stojących w łodzi, miała doskonały ruch i pozę, ale reszta była nabazgrana, linie rysunku chwiały się, gdy je prowadziła drżąca ręka po papierze. Nie miałem czasu życzyć artyście spokojnej starości i lekkiej śmierci śród tego spokoju, gdyż młody kapłan pociągnął mnie poza sanktuaryum i pokazał tam drugi, mniejszy ołtarzyk, stojący naprzeciwko mnóstwa tabliczek ze złota i laki, pokrytych napisami japońskimi.

— To są pamiątkowe tablice zmarłych—powiedział, powstrzymując śmiech. — Od czasu do czasu kapłani przychodzą tu modlić się za tych, którzy tu umarli. Czy rozumiesz pan?

— Doskonale. W krajach, z których przyjeżdżam, nazywa to się mszą za umarłych. Teraz odchodzę, aby pomyśleć nad tem, co widziałem. Pan zaś nie powinieneś szydzić, gdy mówisz o swojej religii.

I przez ciemne korytarze, śród wyblakłych z obu stron parawanów, odszedłem do głównego dziedzińca, nawprost wejścia. Profesor zaś usiłował zrobić zdjęcie z frontu świątyni.

Nadszedł kondukt. Czterech ludzi na przedzie brnęło w błocie. Nie śmiali się, co mnie dziwiło, dopóki nie ujrzałem gromadki kobiet, ubranych biało, idących przed małym, drewnianym palankinem, niesionym przez czterech ludzi, i dziwnie lekkim. Śpiewali półgłosem lękliwą jakąś, monotonną melodyę, którą poprzednio raz tylko słyszałem w północnych Indyach, z ust krajowca, ranionego śmiertelnie przez niedźwiedzia i jęczącego własny swój śpiew pogrzebowy, podczas gdy towarzysze nieśli go na barkach.

— To umarły — powiedział popychacz mojego fotela na kółkach. — Pogrzeb.

— Domyśliłem się tego.

Mężczyźni, kobiety, dzieci wylegli na ulicę, a gdy śpiew pogrzebowy ucichł, podjęli go na nowo. Półżałobnicy nosili tylko kawałki białej tkaniny na ramionach. Najbliżsi krewni zmarłego byli ubrani biało od stóp do głowy. „Aho! Ahaa! Aho!" — jęczeli zcicha w takt padającego deszczu. I zniknęli wszyscy, oprócz jednej starej kobiety, która nie mogła dotrzymać kroku orszakowi i pozostała w tyle, pojękując cichutko: „Aho! Ahaa! Aho!"

Dzieci w dziedzińcu zbiły się w gromadkę wokoło aparatu profesora. Ale jedno z nich miało na swej niewinnej główce bardzo brzydką chorobę skórną, tak wstrętną, że inne dzieci nie chciały się z niem bawić. Stało więc samotne w kąciku i płakało, płakało, jakby mu serduszko miało pęknąć. Biedne stworzonko!

LIST IV

Opisuje, w jaki sposób dostałem się do Wenecyi wśród deszczu i jak się wdarłem do dyabelskiego portu. Wystawa tandety i łaźnia. O panience japońskiej i braku zasuwek u drzwi, o rolniku i jego polach i o pośpiesznym wyrobie teoryi etnologicznych. Na zakończenie Kioto.

— Jedźmy do Osaki, zaproponował profesor.

— Po co? Bardzo mi tu dobrze. A na obiad będą kotlety z homara; deszcz leje, zmokniemy do nitki.

Jednakże wbrew mojej woli — miałem bowiem zamiar szperać po Japonii podług Boedekera podczas obiadu w Orientalu — wsadzono mnie do fotela na kółkach i śród deszczu odstawiono na stacyę kolei żelaznej. Nawet Japończycy nie są w stanie uczynić swoich dworców kolejowych miejscem przyjemnem, pomimo że czynią wszystko, co mogą. System ekspedyowania pakunków zapożyczyli oni od Ameryki; wązkość toru, lokomotywy i wagony — od Anglii; obsługa podróżnych odbywa się z francuską dokładnością; a mundury służby brane są chyba z pierwszych lepszych worków z gałganami. Podróżni są niesłychanie uprzejmi. Znaczna liczba miała pozór europejski i przypominała portret białego Królika Tenniela na pierwszej

stronicy Alicyi w Wonderland*). Odziani byli w garnitury szewiotowe, bardzo czyste, płowo-żółtawe paltoty, a w rękach mieli damskie woreczki z czarnej skóry z niklowemi okuciami. Nosili kołnierze papierowe i celluloidowe dziecinnej miary i bardzo maleńkie buty. Na rękach, malutkich rączynach, mieli białe bawełniane rękawiczki, a papierosy wyjmowali z maleńkich, prześlicznych papierośniczek. Była to młoda Japonia, Japonia dzisiejsza.

— Bóg jest wielki — wygłosił profesor — ale nie jest to naturalne, ażeby człowiek, który siada instynktownie na miękkich matach, nosił ubrania europejskie. Zapewne zauważyłeś pan, że trzewiki przyswajają sobie na ostatku.

Lokomotywa, pomalowana na kolor lapis lazuli, zajechała przed dworzec, ciągnąc za sobą mieszany pociąg, i wsiedliśmy do angielskiego wagonu pierwszej klasy. Nie było tam ani podwójnego dachu, ani zasłon u okna, ani nieudanych termantydotów, wszelkich niemądrych rzeczy. Osaka oddalona jest o trzydzieści kilometrów od Kobe, a leży nad zatoką tego samego nazwiska. Pociągowi wolno przebiegać dwadzieścia cztery kilometry na godzinę i zabawiać się na wszystkich stacyach. Muszę wam powiedzieć, że ta linia kolei idzie pomiędzy górami a brzegiem morza i że spadek wód jest daleko wyższy, niż wszystkie spadki, które mamy pomiędzy Saharunpurem a Umballą. Rzeki i potoki górskie spadają prosto z gór do własnych

---

*) „Alicya w Wonderland“ napisana przez Lewisa Carolla, illustrowana przez Tenniela, jest to utwór niezmiernie komiczny, przeznaczony dla dzieci i bardzo popularny w Anglii.

łożysk, które trzeba okiełznać i połączyć mostami, lub tunelami.

Stacye mają mury czerwone i dachy kryte czerwono, podłogi betonowe, a wszystkie urządzenia, od sygnału do wózków towarowych, — angielskie. Urzędowy kolor mostów jest żółtawo-brunatny, dziwnie podobny do zwiędłych chryzantemów. Uniform konduktorów składa się z czapki ze złotym galonem, czarnego surduta z mosiężnymi guzikami, spodni z czarnym, wełnianym lampasem i kozłowych rękawiczek, zapinanych na guziki. Trudno jest być niegrzecznym dla człowieka, przybranego w taki strój. Ale oczy nasze otwierały się szeroko na widok, jaki mieliśmy z okna wagonu. Wyobraźcie sobie kraj niezmiernie żyzny, grunta czarnoziemu doskonale wynawożone, uprawiane wyłącznie za pomocą łopat i motyk. Jeżeli podzielicie pole na małe kawałki pół-włókowe, będziecie mieli wyobrażenie o surowym materyale, który uprawia hodowca. Cokolwiekbym jednak napisał, nie zdołam dać wam pojęcia o miłem wrażeniu, jakie czynią te wzorowo uprawiane pola, ten idealny system irygacyi, ta matematyczna dokładność siewu i sadzenia. Niema tam zgoła mieszaniny zbóż, ani kawałka ziemi, zmarnowanego przy dróżkach, ani żadnej różnicy w wartości gruntu. Woda była wszędzie na dziesięć stóp pod powierzchnią, jak świadczą koła studzien. Na pochyłości wzgórz każde zagłębienie obłożone kamieniami; takie samo ocembrowanie mają wszystkie brzegi wód. Młody ryż wschodził równo, herbata wyglądała, jak krzew strzyżonego ogrodu; pomiędzy rzędami gorczycy woda stała w brózdach, a purpurowy kwiat groszku odrzynał się od gorczycy, jak pod sznur.

Brzegiem morza widać było nieprzerwany prawie szereg miast, najeżonych kominami fabryk; w głębi

lądu — mozaika zieleni ciemnej, lub złotawej. Nawet podczas deszczu widok był czarujący, a tak czysto japoński, jak obiecywały japońskie malowidła. Jedno tylko psuło nam wszystko, zarówno profesorowi, jak i mnie. Pola nie mogą wydawać tak bujnych plonów na ziemi, wyzyskanej do ostatniego kawałka i zasianej gęsto wioskami.

— Cholera? — zapytałem się, przyglądając szeregowi studzien.

— Cholera — potwierdził profesor — nieunikniona. To wszystko system irygacyjny.

Poczułem się odrazu przyjacielem tych rolników. Ci panowie w szerokich kapeluszach i niebieskiej odzieży obrabiali pola ręcznie i wiedzieli, co to znaczy zaraza.

— Jak pan myślisz—zapytałem—ile rząd pobiera podatku od takich ogrodników?

— Dajże pan pokój—odpowiedział spokojnie.—Nie będziesz pan przecież opisywał ustroju feodalnego Japonii. Spojrzyj pan na kolor tej gorczycy.

Żółte zagony leżały płachtami po obu stronach linii kolejowej, pięły się po spadzistych wzgórzach aż do ciemnych sosen, kręciły się wokoło brunatnych, piaszczystych ławic na wybrzeżach wezbranych rzek i ciągnęły się nieskończonym pasem nad brzegiem ołowianego morza. Domy, z wysokimi, śpiczastymi dachami, pokrytymi brunatnem poszyciem, stały po kolana w żółtej gęstwinie, która ciągnęła się aż do fabrycznych kominów Osaki.

— Duże miasto Osaka!—objaśnił przewodnik.—Są tam różne fabryki.

Osaka zbudowane jest po środku, ponad i między tysiącem ośmiuset dziewięćdziesięciu czterema kanałami, rzeczkami, tamami i rowami. Co wyobraża to

mnóstwo kominów, nie umiem powiedzieć. Mają tam coś do czynienia z ryżem i bawełną; ale nic to nie warto, że Japończycy zajmują się handlem, nie nazwę więc Osaki „wielkim składem handlowym". „Ludzie, którzy mieszkają w papierowych domach, nie powinni sprzedawać towarów" — jak mówi przysłowie. słowie.

Dla Anglika, który ma dużo potrzeb, istnieje w Osace jeden tylko hotel „Jutera". Stykają się tu dwie cywilizacye, a wynik tego zetknięcia jest straszliwy. Budynek jest całkowicie japoński: drzewo, dachówki i rozsuwane ściany parawanowe, wszystko od piwnicy aż do strychu; ale różne udogodnienia są mieszane. W moim pokoju np. jest tokonoma z ciemnego, wygładzonego pnia palmy, delikatnie wyrobiona, a służąca za oprawę pięknemu kakemono, przedstawiającemu bociany. Ale na posadzce, na białych matach rozłożono dywan brukselski, a na to połączenie wzdrygają się ludzkie pięty. Z werendy wzrok góruje nad rzeką, płynącą prosto, jak strzała, pomiędzy dwoma rzędami domów. Japończycy mają u siebie meblarzy, którzy potrafią przystosować rzeki do miast. Z werendy mojej widać trzy mosty — jeden z nich ohydny, kratowego systemu — i część czwartego. Mieszkaliśmy na wyspie i posiadaliśmy komunikacyę z wodą na wypadek, gdy nam się zachce łodzi.

A propos wody, posłuchajcie gorszącej opowieści. Wszystkie książki o Japonii piszą, że chociaż Japończycy są czyści i schludni, mają obyczaje nieco rozluźnione. Kąpią się często bez żadnego ubrania i wszyscy razem. Znajomość kraju, jaką nabyłem w „Orientalu" w Kobe, nasunęła mi śmieszną myśl. W hotelu „Jutera" zażądałem prysznicu. Maleńki człowieczek zaprowadził mnie na dół z werendy, a potem w

górę, po schodach do wspaniałych łazienek, pełnych gorącej i zimnej wody, dobrze umeblowanych i położonych gdzieś przy bocznym korytarzu. We drzwiach nie było naturalnie zasuwek, tak jak nie bywa ich nigdy w jadalniach. Gdybym się znajdował wśród murów europejskiej łaźni, nie zwracałbym na to uwagi; ale gdym się właśnie zabierał do kąpieli, ładna, młoda panienka otworzyła drzwi i oznajmiła, że pragnie wziąć kąpiel obok mnie, w głębokiej, zapuszczonej w posadzkę japońskiej wannie. Kiedy za cały strój ma się tylko swoją niewinność i binokle na nosie, niepodobna zamknąć drzwi przed nosem panienki. Zrozumiała jednak, żem jej nie rad i odeszła, dusząc się od śmiechu, ja zaś, zarumieniony po uszy, dziękowałem niebu, że się wychowałem w kraju, gdzie niema zwyczaju kąpać się à deux.

Padało wciąż, jak w epoce hinduskiego mussonu, a profesor odkrył jakiś zamek, który postanowił koniecznie zwiedzić.

— To zamek Osaka—objaśnił mnie.—Oblegany był przed kilkuset laty.

— Widziałem różne zamki w Indyach. Raighur, Jodhpur — rozmaite rzeczy. Zjedzmy jeszcze gotowanego łososia, podają tu doskonale.

— Żarłok! — burknął profesor.

Pojechaliśmy brzegiem czterech tysięcy pięćdziesięciu kanałów i t. d., gdzie dzieci igrały z płynącą, bystrą wodą, a żadna matka nie wołała na nie: „dosyć tego!" Nasze fotele na kółkach zatrzymały się nad wielką fosą, trzydzieści stóp głęboką, wyłożoną olbrzymimi granitowymi głazami. Za fosą widać było mury fortu. Ale jakiego fortu! Pięćdziesiąt stóp wysokości granitowych głazów, a ściana nie prostopadła, lecz wypukła pośrodku, jak bok statku wojennego.

W Chinach znają taką wypukłość. Widziałem ją też w książkach francuskich, gdzie opisywano oblężenie miasta tatarskiego przez dyabła. Bardzo być może, że ją znają także i w innych częściach świata, ale to mnie mało obchodzi; życie, jak powiedziałem, jest dla mnie zupełnie nowe. Mury były z granitu, którym dawniejsi ludzie posługiwali się, jak gliną. Bloki, tworząc narożniki, miały długości dwadzieścia stóp — dziesięć do dwunastu wysokości i tyleż grubości. Nie były połączone żadnym mularskim materyałem, a mimo to, spojone były bardzo dokładnie.

— I to zbudowali ci drobni Japończycy! — krzyknąłem, przejęty szacunkiem na widok tych głazów.

— Budowa godna cyklopów—mruknął profesor, stukając laską w monolit, mający dwadzieścia pięć metrów sześciennych objętości. — Nie tylko zbudowali, ale i zdobyli. Patrz pan — ślady po strzałach.

Głazy były miejscami popękane i przydymione; widać było, że to dzieło pocisków. Biada wojsku, które zmuszone było odbywać szturm do tych potwornych murów. Widziałem zamki w Indyach, widziałem forty wielkich cesarzów; ale ani Akbar na północy, ani Scindia na południu nie budowali w taki sposób — bez ozdób, bez barw, mając na widoku dwie tylko rzeczy: brutalną potęgę i krańcową prostotę linii. Może przy świetle słonecznem fort ten wydawałby się mniej groźnym. Szare, przesiąkłe deszczem powietrze dostrajało się wybornie do jego tonu. Koszary załogi, subtelny domek komendanta, ogród brzoskwiniowy i dwa jelenie raziły w tem otoczeniu. Szyldwach oddziałowy należał, zdaje mi się, do czwartego pułku. Nosił uniform czarny czy niebieski, z czerwonemi wyłogami, a na epoletach miał numer pułku. Na deszczu potrzeba mu było szynela, ale po co nosił tor-

nister, derkę, buty i — lornetkę, nie mogłem odgadnąć. Tornister był ze skóry wołowej, z sierścią na wierzchu, buty stanowiły jedynie podeszwy, przywiązane rzemieniami, a na wierzchu tornistra miał ciężką obozową kołdrę, zwiniętą w kształcie litery U i przylegającą ściśle do pleców. Na miejscu, gdzie się zwykle nosi manierkę, miał czarne, skórzane pudełko, kształtu pochwy lornetkowej. Może się mylę, ale opisuję, co widziałem. Karabin miał dosyć pospolity zad ruchomy, bagnet zaś w kształcie wybornej szabli był przymocowany do lufy na wzór angielski. Ładunki, o ile mogłem dojrzeć pod płaszczem, pomieszczone były na przedzie pasa. Białe kamasze, bardzo brudne i kaszkiet z daszkiem uzupełniały ubranie. Przyglądam się żołnierzowi z zajęciem i chętniebym się zbliżył, gdyby nie obawa bagnetu. Broń była dobrze utrzymana, chociaż nie nazbyt czysta, ale widok munduru wydarłby klątwę z ust pułkownika angielskiego. Z wyjątkiem szyi, nie przystawał on do żadnej części ciała. Zajrzałem wgłąb odwachu. Wachlarze i delikatna zastawa herbaciana nie godzą się z naszem pojęciem koszar. Najdrobniejszy wzrostem, pijany delinkwent z dalekich pułków angielskich nie tylko zniósłby cały ten szyldwach, ale mógłby zabrać ze sobą całe jego umeblowanie z wyjątkiem zbrojowni. A jednak ci mali, zawsze łagodni, nie upijający się nigdy ludzie stali na czatach w budynku, który przy armatnim ogniu w bastyonach mógł uchodzić za strażnicę wrót piekielnych.

Wdrapałem się na wierzchołek fortu i trud ten nagrodzony został widokiem na trzydzieści mil wokoło, na kwitnące blado-żółte łany gorczycy i niebieskawo-zielone sosny i na rozległe miasto Osakę, rozpły-

wającą się we mgle. Przewodnik nasz zachwycał się najwięcej kominami.

— Jest tam także wystawa — wystawa przemysłów. Chodźmy obejrzeć — powtarzał.

Sprowadził nas z tych wyniosłości, ażeby nam pokazać chlubę kraju pod postacią korkociągów, cynowych garnuszków, przyrządów do rozbijania jaj, łyżek, materyi jedwabnych, guzików i wszelkiej tandety, którą się przyszywa na arkuszach papieru i sprzedaje za bezcen. Japończycy robią to wszystko, niestety, dla siebie samych i są z tego dumni. Nie potrzebują uczyć się od Zachodu dokładności wyrobów i gustownego wystawiania ich na widok publiczny. Wystawa mieściła się w czterech obszernych szopach, postawionych wokrąg największego, środkowego, w którym były tylko parawany, porcelana i drobne wyroby meblowe, wypożyczone na wystawę. Przyjemnie mi było stwierdzić, że pospolity tłum nie troszczy się ani o scyzoryki, ani też o fałszywe klejnoty, lecz zajmuje się tylko oglądaniem parawanów, pozdejmowawszy obuwie, ażeby nie ucierpiała inkrustowana posadzka. Ze wszystkich pięknych rzeczy, jakie oglądałem, dwie tylko zostały mi w pamięci: szary parawan z głowami sześciu dyabłów, tchnących złością i nienawiścią, oraz śmiały, jednobarwny szkic, który wyobrażał starego drwala, odcinającego zdjętą gałąź drzewa. Dwieście lat upłynęło od chwili, gdy artysta złożył ołówek, a słyszymy, zda się, krzyk drzewa pod toporem i ciężki oddech starca.

Nazajutrz rano, po ulewnym deszczu, który kazał rzece pędzić pod drewnianym balkonem z szybkością dwunastu kilometrów na godzinę, słońce przedarło się przez chmury. Nie widziałem go od marca i zaczynałem już odczuwać pewien niepokój. I dopiero wtedy

kraina brzoskwiniowych kwiatów rozwinęła skrzydła i zadrżała radośnie. Wszystkie ładne dziewczyny przywdziały najpiękniejsze szarfy krepowe — koloru róży, błękitu, pomarańczy lub bzu; dzieci zaś pobrały na ręce niemowlęta i wyszły wszystkie, aby się radować. W ogrodzie przy świątyni, przepełnionym kwiatami, dokazałem cudów Deukaliona, dzięki słodyczom, kupionym za dwadzieścia centów. Maleństwa wyległy rojami, aż w obawie przed matkami musiałem zaprzestać dalszego rozdawania przysmaków. Uśmiechały się i kiwały do mnie ślicznie główkami, biegły za mną w czterdziestkę co najmniej, starsze podtrzymywały młodsze, a młodsze skakały przez kałuże. Dziecko japońskie nigdy nie krzyczy, nigdy się nie bije, nie popycha innych i nigdy nie robi placków z błota, chyba, jeżeli mieszka nad brzegiem kanału. Opatrzność jednak, nie chcąc, ażeby było zbyt doskonałem i ażeby nie zamieniło się przed czasem w łysego aniołka, postanowiła, że japońskie dziecko nie będzie nigdy, nigdy obcierać noska.

Nikt się nie zajmował tego dnia w Osace interesami, z powodu słońca i rozwijania się pączków na drzewach. Wszyscy szli do herbaciarni w towarzystwie przyjaciół. Poszedłem i ja za nimi, ale przedtem pobiegłem nad bulwar nadrzeczny pod pozorem obejrzenia mennicy. Był to zwyczajny budynek z granitu, skąd wyrzucają w obieg dolary i inne śmieci tego rodzaju. Na całej długości bulwaru wiśnie, brzoskwinie i śliwki — różowe, białe i czerwone, stykały się gałęźmi, tworząc nieskończony jednolity pas aksamitnych, łagodnych barw. Płaczące wierzby tworzyły naturalną ozdobę brzegów, a ta obfitość kwiecia była zaledwie cząstką hojnych darów wiosny. Może sobie mennica wybijać dziennie po sto tysięcy dolarów, ale

wszystko srebro, nagromadzone w jej składach, nie zdoła powrócić trzech tygodni rozkwitu brzoskwiń, które więcej nawet, niż chryzantemy, są chlubą Japonii. Chyba za jakieś wyższe zasługi, położone w poprzedniem życiu, dano mi było przeżyć te trzy kwieciste tygodnie.

— To japońskie święto kwiatu wiśniowego—objaśnił przewodnik. — Wszyscy się bawią. Modlą się także i chodzą do herbaciarni.

Zamknijcie Anglika pośród kwitnących drzew wiśni, a natychmiast uskarżać się zacznie na ich zapach. Japończycy, jak wiadomo, urządzają wiele uroczystości na cześć kwiatów, co im się chwali, bo kwiaty są najłaskawsze ze wszystkich bóstw na świecie. Urządzenie herbaciarni japońskich przejęło mnie zachwytem. Dobry interes zrobi przedsiębiorca w Osace, gdy zbuduje dziesięciopiętrową pagodę z drzewa i żelaza, otoczy ją pięknymi ogrodami i ozdobi czerwonemi latarniami; Japończyk bowiem będzie uczęszczał wszędzie, gdzie jest piękny widok, aby sobie mógł posiedzieć na matach, popijać herbatę i s a k e i zajadać słodycze. Ta wieża Eiffel jest, co prawda, niezbyt piękna, ale piękne okolice okupują jej braki. Na niższych piętrach, zastawionych stoliczkami, pełno było ludzi, pijących herbatę. Mężczyźni i kobiety napawają się widokiem. Niezwykła to rzecz dla mieszkańca Indyi oglądać człowieka Wschodu przy takiem zajęciu; możnaby powiedzieć, że ten ostatni ukradł coś Sahibowi.

Z Osaki, miasta pociętego kanałami, błotnistego i uroczego, profesor, pan Yamaguczi (przewodnik) i ja pojechaliśmy koleją do Kioto, o godzinę drogi odległego. W drodze widziałem cztery bawoły, zaprzężone do czterech pługów i orzące pola ryżowe. Ba-

wół leżący zajmuje chyba połowę pola japońskiego właściciela; zapewne trzymają oni bawoły na stokach gór, a w doliny sprowadzają je tylko na czas roboty. Profesor oświadcza, że to, co nazwałem bawołem, jest w rzeczywistości wołem. Najnudniejsza to rzecz podróżować z człowiekiem dokładnym. Rozprawialiśmy w pociągu o Japończykach, o ich teraźniejszości i przyszłości i o sposobie, w jaki zapisali się do szeregu większych narodów. Czy wielki gwałt zadał swym uczuciom, wkładając nasze ubranie? Czy nie buntował się, gdy po raz pierwszy wkładał na siebie spodnie? Czy nie wróci kiedy do rozumu i nie porzuci cudzoziemskiego odzienia? Oto niektóre pytania, jakie stawiałem krajobrazowi i profesorowi.

— Jest to dziecko — zauważył profesor — duże dziecko. Zmiana ta była wynikiem jego humoru, ale nie wie, że naród, który raz nosił spodnie, nigdy już nie rozstaje się z niemi.

— Pojmuje pan przecież, że „oświecony" Japończyk ma zaledwie dwadzieścia jeden lat, a ludzie w tym wieku niezbyt są roztropni. Przeczytaj pan „Japonię" Reeda, i zobacz pan, w jaki sposób odbyła się przemiana. Byli raz mikado i szogun, i szogun ten zapragnął być wice-królem i — niechaj piorun spali szoguna! Widziałem klasę kupców i klasę rolników. Chciałbym teraz zobaczyć klasę radżaputańską — to jest ludzi, którzy noszą tysiące szabli, jak to widać w sklepach osobliwości. Szable te przecież były również do użytku przeznaczone, jak szabla Radżaputy. Gdzież są ludzie, którzy je nosili? Pokaż-że mi pan samuraja.

Profesor nie odrzekł ani słowa, ale przyglądał się pilnie głowom ludzkim wzdłuż plantu.

— Podług mnie, czoło wysokie, nos spłaszczony

i oczy zbliżone do siebie — typ hiszpański — są pochodzenia radżaputańskiego, podczas gdy Japończyk z twarzą niemiecką jest Khattri hinduskim — to jest klasą najniższą.

I w taki sposób rozmawialiśmy o naturze i charakterze ludzi, o których nic nie wiedzieliśmy, dopóki nie postanowiliśmy: 1-o) że przykra grzeczność narodu japońskiego pochodzi ze zwyczaju, zarzuconego dopiero przed dwudziestu laty, z powszechnego i napuszonego zwyczaju noszenia szabli, tak samo, jak Radżaputa jest śmietanką grzeczności, ponieważ jego alter ego chodzi w zbroi; 2-o) że grzeczność ta zniknie w innem pokoleniu albo przynajmniej ulegnie poważnej zmianie; 3-o) że Japończyk cywilizowany na wzór angielski zepsuje i znieprawi smak swych sąsiadów, dopóki 4-o) cała Japonia nie przestanie istnieć, jako oddzielny naród i nie stanie się zdobyczą Ameryki, która ją zaprzęgnie do wyrabiania korkociągów; 5-o) że ponieważ wszystko to musi napewno nastąpić za dwieście lub trzysta lat, udało się profesorowi i mnie zobaczyć Japonię w porę; i 6-o) że niema sensu budować teoryi o kraju, dopóki go się nie pozna odrobinę.

I tak dojechaliśmy do Kioto w królewskim blasku słońca, łagodzonego powiewami wietrzyka, który roznosił po ulicach fale zapachu kwitnących drzew wiśniowych. Miasta japońskie, w prowincyach południowych przynajmniej, są bardzo do siebie podobne. Jest to szare morze dachów, upstrzonych białymi murami ogniotrwałych składów, w których kupcy i bogacze chowają najcenniejsze swe skarby. Nad równą powierzchnią górują jedynie dachy świątyń, powyginane na rogach, jak kapelusze. Kioto leży na płaszczyźnie, ze wszystkich prawie stron otoczonej lasami. Niegdyś była to stolica Japonii, a dziś ma dwieście pięćdziesiąt

tysięcy mieszkańców. Zbudowane jest podług planu miast amerykańskich. Wszystkie ulice krzyżują się w regularnych odstępach, tak samo mniej więcej, jak my z profesorem. Budowaliśmy teoryę narodu japońskiego i nie mogliśmy się zgodzić na jedno.

LIST V

Kioto i opowieść o tem, w jaki sposób zakochałem się w najpiękniejszym dzwonie kraju, po rozmowie z chińskimi kupcami herbaty. Opisuję dalej, jak w wielkiej świątyni, złamałem dziesiąte przykazanie w pięćdziesięciu trzech miejscach i oddałem pokłon Kano i znakomitemu cieśli. Jadę następnie do Arashimy.

Zamieszkaliśmy z czeredą sześćdziesięciu przedstawicieli rasy Sahibów w najprzedziwniejszym hotelu, jaki istnieje na świecie. Stoi na pochyłości wzgórza, panującego nad całem miastem Kioto, a ogród ma czysto japoński. Fantastycznie strzyżone krzaki herbaciane, jałowce, karłowate wiśnie, a między niemi sadzawki, pełne złotych rybek, kamienne latarnie, dziwaczne skały i aksamitne trzewiki. Poza nami czarne, o czerwonych pniach sosny, rosną na szczycie góry i zbiegają długim pasem do miasta. Ale katalog licytacyjny nie zdoła opisać uroku tego miejsca, ani ogrodu wiśniowego, ciągnącego się na sto metrów w dół od naszego hotelu. Zapewniono nas uroczyście, że prawie nikt nie przyjedzie do Kioto. I dla tego spotkaliśmy tu wszystkich podróżnych ze statku, który nas przywiózł do Nagasaki i dla tego o uszy nasze odbija się wciąż głośna dyskusya o wycieczki, które trzeba „zrobić”. Anglik jest straszną bestyą, gdy się znajdzie na wielkich drogach; tak samo Amerykanin, Francuz lub Niemiec.

Przyglądałem się grze popołudniowych promieni słońca na drzewach i domach miejskich, patrzałem na zmiany barw w alejach wiśniowych, zapełnionych tłumami i szczęśliwy byłem, że mam nad głową błękitne niebo i parę oczu dla oglądania tych cudów.

Gdy słońce zaszło za góry, powietrze ochłodziło się znacznie, ale ludzie w krepowych szarfach i jedwabnych szatach nie zaprzestali pomimo to swej pogodnej zabawy. Gdy już światło dzienne zatonęło w falach purpury, ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem, był fryz z trojga japońskich dzieci, ubranych w olbrzymie szarfy i usiłujących, z głowami na dół, zawiesić się u bambusowej przegrody. Udała im się sztuka, a przymknięte oko dnia patrzyło na nie uroczyście przed zagaśnięciem. Efekt sylwetki był olbrzymi.

Po obiedzie kilku kupców, handlujących chińską herbatą, zebrało się w pokoju do palenia i gawędzili naturalnie o „interesach". Rozmowy ich dalekie są od naszych, nie mają bowiem pojęcia o ogrodach herbacianych, o suszeniu i zawijaniu, ani o dozorcy, który sobie łamie obojczyki w sezonie najruchliwszym, ani o chorobie, która przetrzebia szeregi kulisów w tym samym mniej więcej czasie. Są to szczęśliwi ludzie, którzy otrzymują z Chin herbatę statkami, naładowanymi tysiącami pak, i puszczają ją potem na rynki londyńskie. Żywią jednak największy szacunek dla herbaty z Indyi, której szczerze nienawidzą. Oto argument, jaki pewien wielki kupiec z Fu-Czeu rzucił mi przy stole[1]):

---

*) Rozmowa, która następuje, zyskała wielki rozgłos w handlowym świecie angielskim, gdy była wydrukowaną w „The Pioncer". Obecnie przytaczaną bywa przy każdej okazyi.

— Może pan sobie mówić o waszych herbatach hinduskich — Assam i Kangra lub innych — ale mam zaszczyt oświadczyć panu, że jeżeli kiedykolwiek zyskają poważne wzięcie w Anglii, zajmą się niemi lekarze. Będą one zabronione przez medycynę. Przekona się pan, czy będzie inaczej. Są one denerwujące i nie zdatne do użytku ludzkiego. Nie przeczę zresztą, że mają obecnie powodzenie w Anglii. Konserwują się trudno. Różne gatunki, które widziałem w Anglii, po trzech miesiącach zamieniały się w siano.

— Zdaje mi się, że co do tego, nie masz pan racyi — wtrącił ktoś z Hankeu. — Wiem z doświadczenia, że herbaty hinduskie konserwują się lepiej od naszych i to nawet znacznie lepiej. Ale (dodał, zwracając się do mnie), gdy tylko rząd chiński zniósł cło, moglibyśmy zgnieść herbatę hinduską i cały jej handel. Moglibyśmy urządzić sprzedaż herbaty w Mincing Lane po trzy pensy funt. Nie, panie, my nie fałszujemy herbaty. To jeden z waszych hinduskich wymysłów. Mamy równie czyste, jak wasze — każda paka zawiera taki sam gatunek, jak próbka.

— Więc możecie, panowie, zaufać pośrednikom, którzy ją dla was kupują na miejscu? — zapytałem.

— Zaufać im? — Naturalnie — zawołał kupiec z Fu-Czeu. — Niema w Chinach takich, jak wasze, ogrodów herbacianych. Wieśniacy uprawiają herbatę u siebie, a kupcy nabywają od nich za gotówkę. Może pan dać Chińczykowi sto tysięcy dolarów na zakup herbaty podług danej próbki. Wszystko będzie w porządku. Chińczyk ten może być pod każdym względem łotr skończony, ale wie dobrze, że niema co żartować z firmą angielską. Przychodzi pańska herbata, dajmy na to, tysiąc skrzynek. Otwiera pan jakie pięć, reszta zaś jedzie do Anglii niepróbowana. Ale

wszystkie są takie, jak próbka. To się nazywa handel. Chińczyk jest kupcem z powołania, solidnym kupcem. Lubią go w interesach. Japończyk nie wart nic. Nie jest to człowiek, któremu można dać do ręki sto tysięcy. Prawdopodobnie uciekłby z nimi, a prawdopodobnie jak koniec swego nosa.

— Japończyk nie ma węchu do handlu. Bogu wiadomo, jak nienawidzę Chińczyków — przemówił jakiś gruby głos z poza obłoków dymu — ale przyznaję, że z nimi można utrzymywać stosunki handlowe. Japończyk jest drobnym kramarzem i nie widzi dalej, jak koniec swego nosa.

Pili i opowiadali różne historye ci kupcy chińscy, a poprzez wszystkie ich opowiadania przebijało głębokie zaufanie do Chińczyków, które nawet, gdy się brało pod uwagę właściwości charakteru chińskiego, było przekonywające. „Comprador e zrobił to; Ho Whang zrobił tamto; syndykat bankierów z Pekinu zrobił znów inną rzecz" i tak dalej. Zadawałem sobie pytanie, czy udawanie wielkich panów nie wchodziło w grę w tych opowieściach o skrzynkach herbaty chińskiej i różnicach w gatunku. Prócz tego mówili kupcy o Chinach, jako o kraju, gdzie się zbija fortunę, o kraju, który raz otwarty dla handlu, opłaciłby się stokrotnie. Mówili mi o rządzie angielskim, który przychodzi dyskretnie z pomocą prywatnemu handlowi, aby w departamencie robót publicznych mieć więcej ofert i nie dopuszczać cudzoziemców. Miło słuchać takich rzeczy. Ale najdziwniejszemi były nadzieje i zadowolenie, jakie przebijały w ich rozmowach. Byli to ludzie zamożni, robiący majątki i kontenci z życia. Porównałem ich z nami, mieszkańcami Indyi. Wiecie przecież, że gdy się nas zbierze dwóch lub trzech w naszym bezpłodnym i biednym kraju, jęczymy i wyrzeka-

my wszyscy. Cywilni, urzędnicy, wojskowi — wszyscyśmy jednakowi: pierwszy przepracowany i schorowany, drugi — wykwintny nędzarz, trzeci zaś, człowiek całkiem bez znaczenia, walczy zawzięcie z tem co nazywa klasycznym rządem. Wiedziałem zawsze, że jesteśmy tam u siebie biedacy, ale nie umiałem zgłębić całej naszej niedoli, dopóki nie usłyszałem tych ludzi, rozprawiających o majątkach, powodzeniu, pieniądzach, przyjemnościach, wygodnem życiu, wycieczkach do Anglii i o wszystkiem, co daje złoto. Przyjaciele ich nie umierają przedwcześnie, a dostatek pozwala im przetrwać spokojnie wszelkie zmiany losu. Tak, my tam wszyscy w Indyach jesteśmy upośledzonem plemieniem.

Jeszcze przed świtem, zanim pobudziły się wróble, rozległ się w powietrzu huk i zbudził mnie z cnotliwego snu. Odgłos był głęboki i dziwny.

— Chyba trzęsienie ziemi, a może góra się wali — pomyślałem, przedsiębiorąc środki ratunku.

Dźwięk powtórzył się jeszcze raz i jeszcze raz, dopóki nie doszedłem do wniosku, że gdyby to było trzęsienie ziemi, połowa hotelu leżałaby już w gruzach. Przy śniadaniu ktoś powiedział:

— To największy dzwon miasta; jest on niedaleko stąd, na wierzchołku wzgórza. Z naszego angielskiego punktu widzenia ma dźwięk nieudany, w stosunku do swej wielkości — za słaby.

— I ja miałem to samo wrażenie, gdy go posłyszałem — odpowiedziałem obojętnie.

Poszedłem na szczyt wzgórza, skąpanego w promieniach słońca, które rozweselało serce, drzewa i oczy. Znacie nieporównaną rozkosz pierwszego jasnego poranku w Himalajach, kiedy człowiek ma w perspek-

tywie cały miesiąc leniwej włóczęgi i kiedy zapach cedrów miesza się z zapachem cygara. Takiego samego wrażenia doznałem tutaj, gdy błądziłem po trawie pełnej fijołków śród opuszczonych japońskich cmentarzysk, zasypanych połamanemi kolumnami i zarosłemi mchem tablicami, aż ujrzałem wielki dzwon, dwudziestostopową masę zielonego bronzu, zawieszonego w szopie z drewnianych belek, pod fantastycznie pokrytym dachem. Belki w Japonii, mówiąc nawiasem, są prawdziwemi belkami; takie, które nie mają pół łokcia średnicy, uważa się za drążki. Belki te były wyciosane z wielkich pni drzewa, spojone bronzem i żelazem. Stuknięcie palcem o brzeg dzwonu, zawieszonego o pięć stóp nad ziemią, wydzierało ciężkie westchnienie z piersi potwora, a uderzenie laską budziło setki przenikliwych ech w ciemnościach jego kopuły. Z jednej strony przymocowane było serce dzwonu, to jest belka, dwanaście stóp długa, oprawna w żelazo, belka, której koniec mierzył prosto w chryzantem, rzeźbiony wypukło na ścianie dzwonu.

Wtedy z umyślnej łaski Opatrzności, która czuwa zawsze nad próżniakami, zaczęto wydzwaniać sześćdziesiąt uderzeń. Pół tuzina ludzi rozkołysało belkę z wielkim krzykiem i nawoływaniem, dopóki nie nabrała rozpędu, a potem puściło wolno sznury i belka zaczęła uderzać w rzeźbiony chryzantem. Odgłos bronzu pochłaniała ziemia i zbocze wzgórza, tak, że siła jego dźwięku nie odpowiadała rozmiarowi dzwonu, jak słusznie mówiono w hotelu. Dzwonnik angielski umiałby wydobyć z niego trzy razy tyle siły. Ale nie potrafiłby nadać mu tego odrębnego dźwięku, pełzającego po skałach i drzewach w promieniu 20-tu metr. w okrąg, przejmującego nawskroś słuchacza i konającego u jego stóp,

jak odgłos dalekiego grzmotu. Wytrzymałem dwadzieścia uderzeń i odszedłem, nie wstydząc się zgoła, żem je wziął za huk podziemny przy trzęsieniu ziemi. Ileż razy od tej pory słyszałem zdala dźwięk tego dzwonu. Wyrzuca on b-r-r-r z głębi swej gardzieli, ale kto raz posłyszał dźwięk tego głosu, nie zapomni go nigdy. Oto, co miałem do powiedzenia o dzwonie w Kioto.

Z dzwonnicy kamienne schody prowadzą na dół, do świątyni Chion-in, gdzie przyszedłem w niedzielę przewodnią, w samą porę, odbywała się bowiem procesya święta kwiatów wiśniowych. Odbywało się jednocześnie nabożeństwo. Świątynia ma trzysta stóp długości, sto szerokości, a sześćdziesiąt wysokości. Pokrywa ją jeden dach, a z wyjątkiem dachówek, niema w całym budynku nic, prócz starego, trzy wieki mającego drzewa, twardego, jak żelazo. Filary, podtrzymujące dach, miały trzy, cztery i pięć stóp średnicy, ani śladu malowania, tylko wyraźny i widoczny słój drzewa. Ginęły wysoko, bardzo wysoko ponad głową we wspaniałej, brunatnej ciemni. Poprzeczne belki były z drzewa cedrowego, kamforowego i z olbrzymich pni sosnowych. Jeden prosty cieśla — nazywają go tylko cieślą — nakreślił plan, a imię jego do dziś dnia przechowują w pamięci. Połowa świątyni oddzielona jest od całości balustradą, dwie stopy wysoką, ponad którą rozwieszono jedwabne makaty. Poza balustradą znajdowały się różne przedmioty kultu, których nie umiałbym określić dokładniej. Pamiętam tylko, że stały tam rzędami stoliczki z laki, a na każdym zwitek pism świętych; ołtarz wysoki, jak organy katedralne, a w nim złoto walczyło z kolorami, kolory z laką, laka z inkrustacyą; świece zaś tak wielkie, jak te, których się używa w kościołach angielskich podczas największych uroczystości, roztaczały łagodne,

żółtawe światło. Bronzowe kadzielnice, w kształcie smoków i dyabłów, dymiły w cieniu jedwabnych chorągwi, poza któremi wznosiła się aż ku sklepieniom drewniana krata, delikatna, jak desenie mrozu na szybach. Tylko nie widać było w tej świątyni wcale dachu. Światło gasło pod potwornemi belkami, tak, iż mieliśmy wrażenie, że jesteśmy w głębokiej, podziemnej piwnicy, bez tego błękitnego nieba i słońca, świecącego przy portalach, gdzie hałasowały i bawiły się wrzaskliwie małe dzieci.

Chciałbym, doprawdy, opisać spokojnie wszystko, co miałem przed sobą, ale oko się nuży, a ołówek poprzestaje na oderwanych okrzykach. A cobyście dopiero powiedzieli, gdybyście widzieli to, com ujrzał, gdy obszedłszy werendę świątyni, skierowałem swe kroki do miejsca, któreby trzeba nazwać zakrystyą. Był to wielki budynek, połączony z głównym gmachem za pomocą mostu z poczerniałego od starości drzewa. Na moście leżały szafranowo-żółte maty, a po matach zwolna i uroczyście, jak wymagała powaga chwili, kroczyło pięćdziesięciu trzech kapłanów, przybranych w poczwórne szaty, ze złotogłowiu, brokateli i krepy. Materye te nie oglądały nigdy światła sklepów, a brokatele podobne spotkać jedynie można w szatniach świątyń.

Były tam jedwabie, zielonkawe, jak woda morska, wyszywane w złote smoki; krepy koloru terrakoty z narzucanymi pękami żółtawo-białych chryzantemów; to znów jedwabie, prążkowane w ogniste języki; jedwabie koloru lapis-lazuli w srebrne ryby; jedwabie szklisto-żółtawe inkrustowane blaszkami szaro-zielonemi; złociste tkaniny w purpurowe liście; szafranowe i bronzowe jedwabie, z twardymi, jak deska, haftami. Wróciliśmy do świątyni, napełnionej już wspaniałymi stro-

jami. Stoliczki lakowe służyły kapłanom za podstawy do ksiąg. Jedni kapłani leżeli na ziemi, inni kręcili się około ołtarzy i kadzielnic, a arcykapłan siedział tyłem do zgromadzenia w złotem krześle, na którem szaty jego mieniły się, jak skrzydła owadów.

Wśród uroczystej ciszy rozłożono księgi i kapłani zaczęli śpiewać pieśni z wyblakłych tekstów, na cześć apostoła Ce, który nie jest wcale z tego świata, a który napisał, że nie powinni nosić szat złotych i kolorowych, ani też dotykać drogich kamieni. Ale z wyjątkiem kilku drobnych akcesoryów, scena, na którą patrzałem, mogła się była odbywać również w jakim kościele katolickim, np. w pięknej katedrze w Arundel.

W tyle za mną pomrukiwał gniewnie jakiś mieszkaniec z Hong-Kongu, wściekły, że mu nie pozwolono sfotografować wnętrza. Nazwał całą tę świetność rytualną i całą tę wystawność „wnętrzem".

Tempo śpiewów stawało się coraz żywsze, w miarę, jak się zbliżał koniec nabożeństwa i dopalały się świece.

Poszliśmy obejrzeć inne części świątyni, ścigani odgłosem nabożnych chórów, które ucichły dopiero wtedy, gdyśmy się dostali do raju, pełnego parawanowych cudów. Przed kilkuset laty mieszkał tam malarz, nazwiskiem Kano. Świątynia Chion-in wezwała go dla przyozdobienia swych ścian. Ponieważ ściany są z parawanów, a parawany tworzą ściany, Kano z „Royal Academy" miał trud nielada. Ale posiadał wielu uczniów i naśladowców, pozostawił przeto kilkaset parawanów, które stanowią tyleż wykończonych obrazów. Wiecie już, że wnętrze świątyni odznacza się prostotą. Kapłani spoczywają na białych matach, w małych izdebkach, z ciemnymi sufitami, a z tych izdebek można w każdej chwili zrobić jedną wielką komnatę. Takie sa-

mo urządzenie ma świątynia Chion-in, tylko że celki w niej stosunkowo duże, ze wspaniałemi werendami i krużgankami. Cesarz odwiedza świątynię od czasu do czasu, przeznaczono więc dla niego specyalną komnatę, wspanialszą od innych. Jedwabne sznury z kutasami, wytwornej roboty, służą do rozsuwania ścian parawanowych, a drewniane ramy pokryte są laką. Słabe słowa moje nie zdołają dać wyobrażenia o spokoju, jakim tchnie całość, i o potędze wywoływania pożądanego efektu, jaką posiadał ten malarz. Wielki Kano namalował stadko bażantów, skupionych na ośnieżonej gałęzi sosny; albo pawia, roztaczającego dumnie ogon dla olśniewania samicy; albo orgię chryzantemów, w wypełnionym po brzegi wazonie; albo postacie spracowanych wieśniaków, powracających z targu; albo scenę myśliwską u stóp wulkanu Fudżiyama. Równie wielkim artystą był cieśla, który budował świątynię i wprawił z nadzwyczajną dokładnością każde malowidło pod sufitem cudownego pomysłu, a Czas, trzeci artysta, największy ze wszystkich, przyćmił blask złoceń, nadając im odcień bursztynu, drzewu — kolor ciemnego miodu, a lśniącej powierzchni laki tony głębokie, wspaniałe i przezroczyste. W każdej celi to samo. Niekiedy odsuwaliśmy zlekka parawan i dostrzegaliśmy maleńkiego łysego akolita, modlącego się nad kadzielnicą, albo też zawiędłego kapłana, spożywającego ryż. Wogóle jednak cele były puste, czysto zamiecione i uporządkowane.

Razem z Kano-Wspaniałym pracowali i pomniejsi artyści. Pozwolono im dotknąć pędzlem zewnętrznych ścian werendy i sumiennie wywiązali się z tego ciężkiego zadánia. Dopiero, gdy przewodnik zwrócił mą uwagę na te drobiazgi, dojrzałem mnóstwo, jednym kolorem robionych szkiców u dołu drzwi werendowych.

Kwiat irysu, zdruzgotany gałęzią, którą obłamała rozzłoszczona małpa; łodyga bambusowa, uginająca się pod gwałtownym naporem wichru; starodawny rycerz, zaczajony w gęstwinie na nieprzyjaciela, z twarzą w brózdy pooraną, z ręką na mieczu — oto niektóre obrazy, dostrzeżone przeze mnie. Jak długo, powiedzcie mi, wytrwałby w naszej cywilizacyi szkic, robiony sepią na dolnej połowie drzwi lub na ścianie kuchennego korytarza? A w tym delikatnym kraju człowiek mógłby napisać swe imię na zakurzonej drodze i byleby napis miał artystyczną wartość, będzie uszanowany przez dzieci i wnuki tego człowieka.

— Teraz już, oczywiście, nie budują takich świątyń — powiedziałem, gdyśmy wyszli na powietrze i gdy profesor starał się zbadać, dla czego malowidła i papierowe parawany harmonizują tak dobrze z ponurą powagą massywnego drzewa.

— Budują właśnie świątynię na drugim końcu miasta — zawołał Yamaguczi. — Chodźmy tam, pokażę panom liny z włosów ludzkich.

Przebiegliśmy przez Kioto w naszych fotelach na kółkach i ujrzeliśmy, oplątaną w niezliczone belki rusztowania, świątynię, jeszcze większą, niż Chion-in.

— Świątynia, która tu stała, spaliła się bardzo dawno. W całej Japonii ludność zaczęła składać drobne ofiary, ci zaś, którzy nie mogli przysłać pieniędzy, przysyłali włosy na zrobienie z nich sznurów. Dziesięć lat trwa ta budowa. Wszystko tu z drzewa — dodał przewodnik.

Na placu pełno było ludzi, zajętych wykończaniem dachu i układaniem posadzki. Kolumny równie olbrzymie, rzeźby równie świetne i cała robota tak samo doskonała, jak w Chion-in — zatrzymywały naszą uwagę na każdym kroku. Nowe drzewo miało bia-

ły i cytrynowy kolor zamiast poczerniałych barw starożytnej świątyni. Tylko spojenia pociągnięte były białą laką dla ochrony przed robactwem, a delikatne wcięcia zabezpieczono drucianą siatką od ptaków.

Japończycy są wielkim narodem. Ich mularże igrają z kamieniem, cieśle z drzewem, kowale z żelazem, artyści z życiem, śmiercią i wszystkiem, co objąć mogą oczy. Na szczęście brak tym ludziom jednego: siły charakteru, którąby im dała możność igrania z całym światem. My to posiadamy, my, naród różowych chodników wełnianych, czerwonych i zielonych piesków fajansowych i okropnych dywanów brukselskich. To nasza kompensata...

— Świątynie! — zawołał w kilka godzin później pewien mieszkaniec Kalkuty, któremu opowiadałem, com widział — mam już po uszy tych świątyń. Kiedy widziałem jedną, mam wrażenie, żem widział pięćdziesiąt tysięcy innych — wszystkie są do siebie podobne. Ale powiem panu, co warte widzenia. Jedź pan do Araszimy, dwanaście kilometrów stąd. To ciekawsze od wszystkich świątyń z pyzatym Buddą w środku.

Usłuchałem tej rady. Mówiłem wam, zdaje się, że kwiecień w Japonii jest piękny? Jeżeli mówiłem, to przepraszam. Zwykle pada deszcz i to zimny deszcz, ale słońce, gdy się ukaże na chwilę, warte jest widzenia. Wydawaliśmy radosne okrzyki, gdy nasze fotele na kółkach, podskakując po okropnym bruku przedmieścia, dowiozły nas do tego, co powinno się nazywać ogrodami warzywnymi, a nazywa się polem.

— Nigdy sobie nie wyobrażałem — rzekł profesor, uderzając laską w czarną ziemię — żeby można system irygacyjny doprowadzić do podobnej doskonałości. Ale cóż za zapach! Nawożą zanadto dobrze swoje pola.

Pola pod miastem miewają zwykle nieprzytomną woń, ale tu cała okolica zarażona była tym odorem. Z wyjątkiem kilku kawałków blizko Dacca i Patna, powierzchnia kraju zaludnioną była jeszcze gęściej, niż w Bengalu i pięć razy lepiej obrobiona. Nie było ani kawałka ziemi stojącej ugorem, a uprawa posunięta była do najwyższego stopnia doskonałości. Cebula, jęczmień, zasiane wązkimi zagonami pomiędzy rzędami herbaty, grochu, ryżu i różnych innych roślin, nieznanych nam z nazwiska, wabiły oczy znużone już blaskiem złotej gorczycy. Nawóz znaczy dużo, ale ręczna uprawa roli jeszcze więcej. Napatrzyliśmy się na jedno i na drugie aż do zbytku. Kiedy Japończyk dał już roli wszystko, co było można, piele swój jęczmień, wyrywając palcami każde źdźbło chwastu. Mówię prawdę. Sam to widziałem.

Dążyliśmy przez płaszczyznę, na której leży Kioto, do łańcucha wzgórz, widniejących w oddali. Stanęliśmy w długim pasie zagród, pełnych różnej starzyzny. Znikły uprawne pola i irygacye, a nasi niezmordowani kulisowie biegli brzegiem szerokiej, płytkiej rzeki, pokrytej różnorodnymi klocami spławianego drzewa. Mogę się spodziewać wszystkiego od Japończyków, ale nie wiem, dla czego natura, która przecież jest potęgą nielitościwą dla całego świata, miałaby im posyłać ze skał kloce drzew niepopękane, gładkie i zaopatrzone na końcu każdego pnia we wcięcie na linę. Widziałem, jak drzewa płynęły po Rawi w czasie przepływu wody i gdy je wyciągano stamtąd hakami, były szorstkie, jak szczotki do zębów. Towar japoński spada w dół bez uszkodzenia. Wcięcia więc takie są cudem.

— Pogodny dzień — opowiadał nam przewodnik—

wszyscy mieszkańcy Kioto jadą do Araszimy na wycieczkę.

— Ależ oni zawsze robią wycieczki: do ogrodów z wiśniowymi drzewami, do herbaciarni, do...

— Tak, jeżeli pogoda, wszyscy jadą na spacer, bawią się.

— Ale przecież człowiek nie jest stworzony do zabawy jedynie.

— Dla czego się bawią? Bo dzień jest pogodny. Anglicy mówią, że pieniądze spadają Japończykom z nieba i dla tego nic nie robią. Tak wam się tylko zdaje. Ale patrzcie, jakie tu piękne miejsce...

Rzeka skręcała pomiędzy góry, porosłe sosnami, i rozbijała się srebrną pianą o słupy i szczątki lekkiego mostu, zniesionego świeżo przez wodę. Po naszej stronie, nawprost pięknej grupy młodych klonów, stał szereg herbaciarni i drewnianych baraków, zbudowanych nad wodą. Światło słoneczne, niezdolne rozjaśnić posępnej zieloności sosen, oblewało łagodne, delikatne liście klonów i wybrzeże, na którem wiśniowe drzewa jaśniały biało—różowymi płatkami wpośród ciemnych dachów wioski, położonej na przeciwległym brzegu.

Zatrzymałem się tam na dłużej.

LIST VI

Towarzystwo w herbaciarni, bawiące się w gry.—Całkowita historya nowoczesnej sztuki japońskiej.—Rzut oka na przeszłość i proroctwa na przyszłość, ułożone w fabrykach Kioto.

W jaki sposób dostałem się do herbaciarni, nie umiem powiedzieć. Może jaka piękna dziewczyna skinęła na mnie gałązką rozkwitłej wiśni, a ja przyjąłem zaprosiny. Wiem tylko, że rozciągnąłem się, jak długi na matach i wpatrywałem się w obłoki, przepływające po niebie, i w kłody drzewa, płynące po wodzie, wchłaniałem zapach drzewa, świeżo odartego z kory, wsłuchiwałem się w nawoływania flisaków i czułem się szczęśliwszy, niż przystoi być człowiekowi na tej ziemi.

Właścicielka herbaciarni nastawała na to, ażeby nas odgrodzić parawanem od innych towarzystw, bawiących się na tej samej werendzie. Przyniosła ładne, niebieskie parawany z wymalowanymi bocianami i powsuwała je w listwy. Wytrzymywałem, dopóki mogłem. Z poza parawanu dochodziły wybuchy wesołego śmiechu, tupot małych nóżek, brzękanie talerzyków, a w szparach połyskiwały blaski brylantowych oczu. Cała rodzina z Kioto wybrała się na wycieczkę. Mama zajmowała się babcią, młoda ciocia gitarą, a dwie

dzieweczki lat czternastu i piętnastu — małym, ośmioletnim chłopczykiem, który ze swej strony zajmował się maleńkiem dzieciątkiem, które znowu wyglądało tak, jakby się zajmowało całem towarzystwem. Babcia ubrana była w kolor ciemno-niebieski, mama — niebiesko i popielato, dziewczęta miały wspaniałe szaty krepowe, w desenie z kwiatów ponsowych i lila, szarfy koloru kwiatów jabłoni, z podbiciem koloru świeżo rozkrojonego melona; chłopczyk nosił złociste rdzawo-brunatne suknie, a maleństwo w tęczowych, dyskretnych barwach przewracało pomiędzy talerzami pulchne swe ciałko. Wszyscy byli ładni, z wyjątkiem prostodusznej, łysej babci; gdy skończyli obiad i sprzątnięto lakowe stoliczki, biało-niebieską porcelanę i zielonawe filiżanki, ciotka zaczęła grać na gitarze samisen, a dziewczątka bawiły się w ślepą babkę.

Człowiek z krwi i ciała nie zdołałby wytrzymać po drugiej stronie parawanu. Zapragnąłem bawić się także, ale byłem zbyt wielki i zbyt niezgrabny, mogłem więc tylko siedzieć i przypatrywać się tym porcelanowym figurkom. Krzyczały, wybuchały śmiechem, goniły się i przysiadały na ziemi z niewinnym wdziękiem dziecięcym, a przerywały zabawę po to tylko, ażeby popieścić małego, gdy okazywał, że go zaniedbają. Bawiły się w czterech kątach, a nogi miały związane niebieskiemi i białemi chusteczkami, gdyż maleńki pokoik krępował swobodę ruchów. A gdy zmęczone nie mogły już biegać, wachlowały się, oparte o niebieskie parawany, i każda z nich stanowiła obrazek, któregoby żaden malarz nie potrafił oddać, ja zaś śmiałem się tak mocno, jak i one, aż stoczyłem się z werendy i byłbym upadł na ulicę. Czym oszalał? Jeżeli tak, to byłem przynajmniej w dobrem towarzystwie, gdyż tego samego dnia spotkałem w Araszimie pewnego poważne-

go obywatela hinduskiego, człowieka wierzącego jedynie w kodeks cywilny; był on dziwnie zaczerwieniony i podniecony.

— Zabawiłem się doskonale — wołał, ścigany przez tłumy dzieci. — Jest tu jakaś ruleta, na której gra się o ciastka. Kupiłem za trzy dolary cały sklepik kramarza i urządziłem Monte Carlo dla jakich pięciu tysięcy dzieciaków. Nigdy w życiu nie bawiłem się tak dobrze. Nic wobec tego nie warta loterya w Simla. Dzieci stały spokojne, dopóki nie sprzątnęły ze stołów wszystkiego, z wyjątkiem wielkiego żółwia z cukru. Wtedy rzuciły się hurmem na bank, ja zaś uciekłem.

A przecież był to człowiek surowy, który od dawien dawna nie bawił się rzeczami tak niewinnemi, jak cukierki.

I my też mieliśmy już dosyć tego śmiechu, zwłaszcza, że aparat profesora znalazł się w kole rozbawionych dziewcząt i fotografie się popsuły; uciekliśmy więc z herbaciarni i błądziliśmy nad brzegiem rzeki, a potem przepłynęliśmy tratwą po wezbranych wodach, i wylądowaliśmy na wązką, kamienistą dróżkę. Rosły tam irysy i fijołki, a wesoło szumiący wodospad przedzierał się przez zarośla świerków i klonów. Byliśmy u stoku prądów Araszimy, a razem z nami wszystkie piękne dziewczęta z Kioto, które tu przyszły dla nacieszenia się pięknym widokiem. Na uboczu stała ciemnozielona, samotna sosna, wpatrzona w zakręt rzeki, gdzie woda toczyła się bystro, tworząc wiry na głębinie. Dalej znów rzeka rozbijała się o odłamy skał, niosąc na swem łonie kloce drzewa, ludzie zaś, stojący w czółnach, zanurzonych głęboko w srebrzystej pianie, ciągnęli te kłody i kierowali je w dal. Pod stopami, żyzna ziemia posyłała swe wiosenne tchnienie klonom, których wierzchołki igrały już z gorącymi wiatrami kwietniowymi.

Ach! dobrze było żyć w tej chwili, zrywać irysy, muskać się po twarzy zroszonemi gałęźmi rozkwitłych jabłoni, zbierać fijołki po to jedynie, aby je rzucać na bystre wody potoku i wyławiać potem najpiękniejsze kwiaty.

— Jak to źle być niewolnikiem aparatu! — westchnął profesor, na którego też oddziaływała potęga wiosny, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy.

— A jak to źle być niewolnikiem pióra! — westchnąłem i ja.

Bo przyszła nareszcie wiosna. Przez siedem lat nienawidziłem wiosny, gdyż narażała mnie na różne niewygody.

— Wracajmy wprost do Anglii i popatrzmy na kwiaty w naszych parkach.

— Cieszmy się tem, co mamy pod ręką, filistrze!

I bawiliśmy się, dopóki nie nadciągnęła chmura i nie zawiał chłodny wiatr od rzeki, a wtedy wróciliśmy z rezygnacyą do naszych foteli na kółkach.

— Jak pan myślisz, ilu ludzi mieści się w tym kraju na kilometrze kwadratowym? — zagadnął profesor na zakręcie drogi. Zagłębiał się w statystyce.

— Pięćset pięćdziesiąt — odpowiedziałem, zgadując. — Zaludniony jest gęściej, niż Sarun lub Behar. Może sześćset.

— Otóż, czy uwierzysz pan — tysiąc pięćset!

— Patrząc na ten krajobraz, mogę uwierzyć. Ale wątpię, czy Indye uwierzą. Napiszę więc, dajmy na to, tysiąc.

— I tak powiedzą, że pan przesadzasz. Lepiej napisać prawdę. Tysiąc pięćset ludzi na kilometrze kwadratowym i ani śladu nędzy. Jakim sposobem dochodzą do tego?

Chciałbym otrzymać odpowiedź na to pytanie. Japonię zamieszkują, jak widzę, przeważnie dzieci, które powstrzymują starszych od zbytniej lekkomyślności. Dzieci, w razie potrzeby, pracują też potroszę, ale rodzice przerywają im zajęcia pieszczotami. W hotelu Yami cała usługa spoczywała w rękach dziesięcioletnich dzieciaków, gdyż wszyscy starsi wyruszyli na wycieczkę do kwitnących sadów. Małe łobuzy znajdowały siły na roboty ludzi dorosłych, w przerwach zaś dokazywały na schodach. Służący mój, nazywany „biskupem" z powodu swej poważnej miny, niebieskiego fartucha i kamaszy [1]), był chyba najzwinniejszy ze wszystkich, ale nawet jego energia nie zdoła wytłomaczyć statystyki profesora, co do gęstego zaludnienia...

Widziałem u Japończyków pewien gatunek pracy, ale nie takiej, która wydaje obfite żniwo. Była czysto artystyczna. Całą jedną dzielnicę Kioto zamieszkują rękodzielnicy. W tej części świata fabrykant nie wywiesza żadnego szyldu. W Paryżu lub New-Yorku można go odrazu zobaczyć. Anglik, który chce odnaleźć warsztat rzemieślnika w Kioto, musi go szukać z pomocą przewodnika w obrzydliwych ulicach. Zwiedziłem trzy pracownie: jedną — porcelany, drugą — emalii, trzecią — laki, inkrustacyi i bronzów. Pierwsza znajdowała się poza płotem z czarnego drzewa; na zewnątrz wyglądała jak sklep z flakami. Wewnątrz siedział majster przy maleńkim ogródeczku, mającym cztery stopy kwadratowe, w którym palma o sztucznym wyglądzie wyrastała z prostego, glinianego wazonu i nakrywała swym cieniem karłowatą sosenkę. Reszta izby napeł-

*) Biskupi angielscy noszą rodzaj fartuchów i kamasze.

niona była porcelaną, gotową do opakowania. Był to po większej części gatunek nowoczesnego Satsuma, taki, jaki kupujemy na licytacyach.

— To się robi na wysyłkę do Europy, Indyi, Ameryki — objaśnił spokojnie majster. — Chcecie panowie obejrzeć?

Przez werendę z gładkiego drzewa, zaprowadził nas do pieców, do kadzi z glinką, na podwórze, gdzie maleńkie półeczki oczekiwały na porcelanę. Pomiędzy wyrobami japońskimi a burslemskimi[1]) istnieją liczne różnice techniczne, ale—małego wogóle znaczenia. W oddziale, gdzie robotnicy lepili kadłuby słynnych wazonów Satsuma, koła, prowadzone ręcznie, pracowały zdumiewająco dokładnie. Garncarz siedział na czystej macie, obstawiony przyborami do herbaty. Kiedy już wyrobił wazon i przekonał się, że jest dobry, nalewał sobie nieco herbaty i zabierał się do następnego. Garncarze umieszczani byli w sąsiedztwie pieców i nie wiele ładnego mieli do pokazania. Inaczej było w salach malarskich. W budynku, jak pudełko, siedzieli mężczyźni, kobiety, dzieci, malując wazony po pierwszem wypaleniu. Zbyteczna rzecz wspominać, że panowała tam czystość i wykwintność ozdób: byli to przecież Japończycy i artyści. Gałąź kwitnącej wiśni wyrastała strzelisto z ponad ogrodzenia ogródka; pokręcona sosna odcinała się na błękitnem niebie rozstrzępionemi igłami, a na brzegach maleńkiej sadzawki kołysały się na wietrze irysy i skrzypy. Pracownikom, gdy uczuwali brak pomysłów, wystarczyło spojrzenie na otaczającą naturę. Gdzieś daleko, w brudnej Anglii, ludzie marzą o ro-

---

*) Burslem, miasto Statffordshiru w Anglii, w którem wyrabiają fajansy Wedgwooda.

botnikach, mogących pracować w takich warunkach, któreby sprzyjały rodzącej się myśli. Tworzą nawet związki i piszą napół rytmiczne modlitwy do Czasu, Powodzenia i innych bóstw. Czy chcą zobaczyć, jak się urzeczywistnia ich marzenie? Niech popatrzą na garncarstwo w Japonii, niech zobaczą, jak tu człowiek siedzi na śnieżnej macie, jak ma przed oczyma wdzięk linii i barwy, a potem, gdy spuści oczy, wydobywa, jak może najszybciej, zwykłą rozmaitość odcieni wazonu Satsuma. Barbarzyńcy żądają Satsumy, więc będą go mieli, chociażby w Kioto robiono egzemplarz w dwadzieścia minut.

Właściciel drugiego zakładu mieszkał w gabinecie z czarnego drzewa — byłoby profanacyą nazwać to domem — otoczony drogocennymi bronzami i medalami z wystaw angielskich, francuskich, niemieckich i amerykańskich. Spokojny był i cichy, jak kot, a mówił prawie szeptem. Pragniemy obejrzeć fabrykę? Owszem. Poprowadził nas przez ogród; dla niego było to niczem, lecz my stanęliśmy zachwyceni. Kamienne latarnie, porosłe zielonkawym mchem, wychylały się z pośród bambusów, między którymi stały bociany wykute z bronzu. Karłowata sosna obejmowała ramionami czarodziejską sadzawkę, w której poruszały się zwolna tłuste, leniwe karpie, a kilka czubatych nurów zaprotestowało głośno przeciw naszemu najściu. Cisza tu taka, że słychać szelest spadających kwiatów wiśniowych oraz tarcie się ryb o kamienie. Znajdowaliśmy się w samym centrze tych dekoracyi, które zdobią wszystkie fajansy japońskie, i staliśmy nieruchomo, aby czegoś nie zepsuć. Japończycy podobni są do ptilinorynchów, ptaków australskich. Do ozdoby swych domów zbierają wszystko: kamyki, dziwacznie wygładzone przez wodę, odłamy skały, drobne kamyki. Zmieniając

mieszkanie, zabierają ze sobą cały ogród — sosny i resztę, a nowy lokator może sobie przyozdabiać grunt podług swego gustu.

Po sześciu stopniach weszliśmy do budynku, gdzie szła robota. W jednym pokoju stały farby do emalii, starannie umieszczone w dzbanach nieposzlakowanej czystości, oraz miedziane wazony, przygotowane do emaliowania; niewidzialny ptak świergotał i gwizdał w klatce, a pudełko barwnych motyli stało na zawołanie malarza, gdy potrzebował modeli. W następnym pokoju siedzieli robotnicy, trzech mężczyzn, pięć kobiet i dwóch chłopców — wszyscy milczący, jakby uśpieni. Inna to całkiem rzecz czytać o emalii na miedzi, a inna — patrzeć, jak ją robią. Zrozumiałem wysoką cenę tej pracy, gdy zobaczyłem, jak jeden z robotników układał deseń z gałązek i motylów na talerzyku, mającym dwadzieścia pięć centymetrów średnicy. Cieniutką niteczką srebrnego drutu oznaczał kontury, wciskając z niezmierną cierpliwością drucik szczypczykami w żyłki i ząbkowane brzegi listków rysunku. Najdrobniejsze stuknięcie w miedzianą tabliczkę rozsypałoby cały rysunek. Gdy już deseń został oznaczony, miedziany talerzyk wkładano do pieca, ażeby srebrny drucik mógł przylgnąć do rozpalonego metalu i aby w ten sposób zyskać wypukłe linie rysunku. Potem następuje kolorowanie, którem się zajmują małe chłopaki w okularach. Delikatnymi, stalowymi patyczkami czerpali oni ze stojących obok miseczek odpowiedniego odcienia masę i napełniali nią każdy kawałek rysunku. Niema miejsca na pomyłki, gdy trzeba napełnić farbą plamy skrzydełka motylego, gdy całe to skrzydełko ma zaledwie dwa i pół centymetra szerokości. Przyglądałem się długo zwinnym poruszeniom dziecięcych rączek, aż właściciel fabryki odwołał mnie do obejrzenia cie-

kawych wzorów groźnych smoków, strzępiastych chryzantemów, motylów, arabeskowanych delikatnie, jak mróz na szybach, a wszystko rysowane ręką nadzwyczaj pewną.

— Oto nasze wzory — zawołał. — Układam z nich kompozycye, a gdy mi braknie jakiej barwy, idę oglądać te nieżywe motyle.

Po wypełnieniu konturów farbami, wazonik lub talerz idą do pieca, z którego wychodzą powzdymane miejscami, podobne do delikatnej majoliki. Niekiedy cały miesiąc trwa wykładanie konturów rysunku drucikiem na talerzu, drugi miesiąc — wypełnianie farbami, ale najwięcej czasu zabiera polerowanie. Pracownik zasiada, otoczony przyborami do herbaty, z wanienką wody, kawałkiem flaneli, dwiema lub trzema miseczkami, pełnemi odpowiednich kamyków. Nie dostaje ani kamienia trypoli, ani szmergielu, ani skóry wielbłądziej. Zasiada i wygładza. Gładzi miesiąc, trzy miesiące, rok. Gładzi z zamiłowaniem, wkładając całą duszę w końce palców, i stopniowo ginie przydymienie emalii od ognia, powierzchnia schodzi do równego poziomu ze srebrnym drucikiem, a rysunek występuje w całej wspaniałości. Widziałem robotnika, który od miesiąca już wygładzał wazonik pięć cali wysoki, a miał przy nim roboty jeszcze na dwa miesiące. Kiedy już będę w Ameryce, on będzie wciąż jeszcze wygładzał, a piękny, rubinowy smok na niebieskiem tle, z każdą łuską, z każdym włoskiem, obwiedzionym srebrną obwódką, będzie coraz piękniejszy.

— Jest też i tania emalia na handel — objaśnił zarządzający z uśmiechem. — My nie możemy takiej wyrabiać. Ten wazonik będzie kosztował siedemdziesiąt dolarów.

Za to „nie możemy", zamiast „nie wyrabiamy",

poczułem dla niego szacunek. Znać było w tem wyrażeniu artystę.

Ostatnią naszą wizytę odbyliśmy w największym zakładzie w Kioto; chłopcy robili tam złote inkrustacye na żelazie, siedząc na werendach z drzewa kamforowego i patrząc na ogrody, piękniejsze jeszcze od wszystkich dotąd widzianych. Chłopców tych wzięto do pracy w bardzo młodym wieku, jak to bywa również w Indyach. Dorosły robotnik zajęty był układaniem z żelaza, złota i srebra straszliwej historyi dwóch kapłanów, którzy zbudzili Smoka Deszczu i uciekali przed nim wokoło brzegów szerokiej tarczy. Ale najśliczniejszym robotnikiem było maleńkie, tłuste dziecko, któremu dano gwoździk, młoteczek i kawałek metalu do zabawy, ażeby rzemiosło, z którego ma żyć w przyszłości, wsiąkało weń wszystkimi porami skóry. Śmiało się i śpiewało, uderzając młoteczkiem. Nie wiele się znajdzie w Anglii pięcioletnich dzieci, któreby umiały użyć młotka bez potłuczenia swych różowych paluszków; mały Japończyk umiał już uderzać celnie.

Na ścianie pracowni zawieszono malowidło, przedstawiające apoteozę sztuki. Odtworzono tam wiernie wszystkie fazy garncarstwa, od wydobywania gliny aż do wkładania garnków do pieca. Pogardliwość swą pokazał artysta w rysunku sceny ostatniej, gdzie jakiś Anglik, obejmujący w pół swą żonę, ogląda sklep osobliwości. Na Japończyków nie wywiera zgoła wrażenia ani wdzięk naszej odzieży, ani piękność naszych rysów.

Zwiedziliśmy następnie fabrykę wyrobów ze złotej laki, którą się pociąga, warstwa po warstwie, czerpiąc farbę z agatowej palety, umocowanej na palcu artysty; wreszcie zobaczyliśmy rzeźbiarnię z kości słonio-

wej, niezmiernie zajmującą dopóty, dopóki widz nie spostrzeże, że dłótko nie błądzi nigdy.

— Ich artyzm, to czysto mechaniczna zręczność— zauważył profesor, po powrocie do hotelu.

— A nasza? europejska? — zapytałem.

— Idę spać — usłyszałem w odpowiedzi.

LIST VII

O naturze Tokaido i o budowie kolei japońskich. Pewien podróżnik wyjaśnia życie Sahibów, a inny—początek gry w kości. O dzieciach w kąpieli i o człowieku w delirium tremens.

Znacie historyę woźnicy, który pożyczył sobie raz encyklopedyi, a oddając ją, zauważył, że opowiadania, chociaż wogóle zajmujące, były zanadto urozmaicone. Muszę ten zarzut postawić dekoracyi japońskiej, tej dekoracyi, która się przesunęła przed memi oczyma podczas dwunastu godzin podróży od Nagoya do Yokohamy. Przed siedmiuset laty król, panujący w tym kraju, zbudował nad brzegiem morza drogę, którą nazwał Tokaido, i droga ta przetrwała do dnia dzisiejszego. Gdy się zjawił potem inżynier angielski, poszedł mniej więcej śladem Wielkiego Trunka [1]) i wyłoniła się z tego droga żelazna, przed którą każdy naród może złożyć pokłon. Ostatni ułamek prostej linii od Kioto do Yokohamy otwarty został pięć dni przed naszą nieurzędową inspekcyą.

Organizacya tej kolei ma na widoku dobro Japoń-

---

*) „Wielki Trunk" jest to sławna droga w Indyach, wielokrotnie opisywana przez R. Kiplinga.

czyków; przykry zawód spotka cudzoziemca, który w wagonach, podobnych zewnętrznie do „East India Railway", spodziewa się urządzeń tej starej, zakurzonej linii. Ale Japończycy są z niej zupełnie zadowoleni. Wyskakują na platformę co drugą stacyę i niekiedy pociąg odjeżdża im z przed nosa. Niedawno temu pewien dygnitarz został zmiażdżony pomiędzy stopniem a platformą i dziś gazety japońskie bardzo poważnie rozprawiają o korzyściach ustępów wagonowych. Nie mam zamiaru wtrącać się do rozporządzeń, które wydawać może naród artystów, sądzę jednak, że na dwunastogodzinną podróż przydałyby się pewne udogodnienia.

Pozostawiliśmy gęste zaludnienia i wzorową uprawę ziemi u podnóża gór i jechaliśmy brzegiem wielkiego jeziora, stalowo-błękitnego na całej powierzchni, o ile nie było na niem drobnych wysepek. Potem jezioro zamieniło się w morską zatokę, którą przebyliśmy po kamiennej grobli; znikła obfitość sosen, bo drzewa zmuszone są wyrastać z wilgotnych pagórków nadbrzeżnych i walczyć, pochylając głowy, wyciągając ręce i krzepiąc się na nogach, walczyć z piaskami oceanu Spokojnego, którego bałwany szumią o pięćset metrów od drogi. Japończycy znają się dobrze na gospodarstwie wodnem i leśnem. Zatrzymują palami ruchome piaski, te piaski, którym pozwalają u nas niszczyć zboża w okręgu Hoshiarpuru i umieją umacniać ruchome wydmy tamami z sosen równie zręcznie, jak spajają gwoździami deski. Czy ich leśnicy kształcili się w Nancy, czy też są wytworem krajowym? Sposób robienia tam dla umocnienia piasków jest czysto francuski i francuskie również sadzenie drzew skośnymi rzędami.

Po przejechaniu tych pustych i twardych wybrze-

ży, pociąg jechał sześć lub siedem kilometrów śród okolic, któreby można wziąć za przedmieście Patny, ale Patny czystej i zmienionej, pokrytej obficie plantacyami bambusowemi. Potem zapuścił się w tunel i wjechał w rodzaj sekcyi „London, Chathan and Dover", albo też innej linii kolejowej, która ma być tunelem kanału la Manche. Bądźcobądź nad wybrzeżem był nasyp i fale lizały jego podnoże, a z drugiej strony ziemi wznosiła się ściana, wykuta w skale. Potem mijaliśmy liczne wioski rybackie, których werendy niemal stały przy plancie, a sieci rozwieszone były prawie pod kołami pociągu. Kolej żelazna była jeszcze nowością w tym szczególnym zakątku świata, matki bowiem unosiły dzieci do góry, aby im pokazać pociąg.

Każdy może spokojnie oglądać krajobrazy hinduskie, jednolite na przestrzeni ośmiuset kilometrów. Tutaj — nieustanna zmiana pól, gór, wybrzeży morskich, lasów, bambusowych zarośli i stepów, pokrytych dywanami kwitnących azalii, tak mnie zmęczyła, że wdałem się w gawędę z człowiekiem, który od lat dwudziestu przebywał w Japonii.

— Tak, Japonia jest wybornym krajem pod względem klimatu. Deszcze zaczynają się w maju lub w końcu kwietnia. W czerwcu, lipcu i sierpniu jest gorąco. Czasami bywa 30 stopni Celsiusza w nocy, ale niema chyba na całym świecie przyjemniejszego klimatu, jak nasza pora od maja do września. Kiedy już nie można wytrzymać, jedzie się do ciepłych źródeł w górach Hakone w pobliżu Yokohamy. Jest dużo miejsc dla rozrywki, ale my, Anglicy, tworzymy kółko dosyć stałe. Nie udzielamy się naturalnie nawet w połowie tyle, co wy tam w Indyach. Stanowimy małe towarzystwo i sami urządzamy dla siebie różne przy-

jemności — koncerty, wyścigi, teatr amatorski i inne rzeczy. Macie tego wszystkiego dosyć w Indyach, prawda?

— O tak, — odpowiedziałem — bawimy się okropnie, zwłaszcza o tej porze roku. Przypuszczam jednak, że małe towarzystwa, które się muszą bawić same, czują się w końcu nieco smutne i odosobnione, a wreszcie znudzone. Ale przerwałem panu...

— Chciałem właśnie powiedzieć, że życie jest tanie, ale mieszkania są bardzo drogie. Porządnego domu nie można dostać za sto dolarów miesięcznie, a za komorne w nim trzeba płacić ze sześćdziesiąt. A jednak stan domów jest dość nizki obecnie w Yokohamie. Dziś i w poniedziałek będą wyścigi. Pojedziesz pan? Nie? Powinieneś pan jechać, żeby zobaczyć, jak się bawią cudzoziemcy. Widziałeś pan, naturalnie, daleko lepsze rzeczy w Indyach; ale nie widziałeś pan jeszcze nic podobnego do starego Fudżi-Fudżiyama. Popatrz pan na lewo od drogi. Cóż pan na to?

Odwróciłem się i ujrzałem Fudżiyamę ponad oceanem pól i lasów, pnących się w górę. Ma ten wulkan cztery tysiące metrów — nie wiele, jak na nasze pojęcia hinduskie, ale co innego cztery tysiące metrów ponad poziomem morza, gdy się jest w otoczeniu pięciotysięcznych szczytów Himalajskich, a co innego podobna góra pośród płaskiej stosunkowo okolicy. Oko pnie się z trudem po gładkiem zboczu wygasłego wulkanu, a doszedłszy do wierzchołka, wyznaje, że nawet w Himalajach nie widziało nic, coby było godne stanąć obok tego potwora. Byłem bardzo zadowolony. Fudżiyama wyglądał zupełnie tak, jak na japońskich wachlarzach i pudełkach lakowych. Fudżiyama jest szczytem kulminacyjnym Japonii. Gdy go zrozumiecie, będziecie zdolni nauczyć się czegoś i o całym kraju.

Starałem się zebrać nieco wiadomości od mego towarzysza podróży.

— Tak! — mówił. — Japończycy budują koleje na całej wyspie. Winienem raczej powiedzieć, że formują i utrzymują towarzystwa kolejowe i czuwają, aby dużo zarabiały. Nie mogę pana objaśnić, skąd się biorą pieniądze, ale nie ulega wątpliwości, że pełno ich w kraju. Japończyk nie jest ani bogatym, ani biednym, ale niczego mu nie brakuje. Ja sam jestem kupcem. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobał ich sposób prowadzenia interesów. Człowiek nigdy nie jest pewny, co taki filut ma na myśli. Co innego Chińczyk. Inni już pewno mówili panu to samo. Usłyszy tu pan takie zdanie we wszystkich portach, otwartych dla Europejczyków. Ale mogę powiedzieć, że rząd japoński jest w interesach bez zarzutu. Kiedy Japonia wykończy swoje nowe urządzenia, będzie to potęga, całkiem godna szacunku. Zobaczy pan. Teraz popatrz pan na góry Hakone. Spojrzyj pan na kolej, jaka ciekawa.

Wjechaliśmy w góry Hakone śród dekoracyi irlandzkiej około sadzawki z pstrągami szkockimi, doliny Devonshiru i rzeki hinduskiej, pędzącej swobodnie po kamieniach. Był to dopiero wstęp do zbioru różnych ilustracyi geologicznych. Byłem tak zajęty opowiadaniem różnych kłamstw o szczytach Himalajskich podróżnemu z Yokohamy, że przestałem się przyglądać zblizka tym dziwom. Stanęliśmy o ósmej wieczorem w „Grand-Hôtelu", gdzie wszyscy ludzie umyci, wykwintnie ubrani, zasiadali właśnie do obiadu i spoglądali na nas pogardliwie, a ci, których spotykaliśmy poprzednio na parostatkach, pogrążyli się w albumy fotograficzne i udawali, że nas nie znają.

Grand-Hôtel nie usprawiedliwia w rzeczywistości swej nazwy, ale, o ile wam kto nie wskaże lepszego, dobry i ten. Miałem jakieś szczególne powodzenie w hotelach średniego pokroju. W Grand-Hôtelu wszyscy są zbyt wspaniali i zbyt wielcy, ale nie zawsze umieją stanąć na poziomie swej wielkości. Dzwonków elektrycznych niesłychana ilość, ale nikt nie odpowiada, gdy dzwonić; spis potraw drukowany, ale pierwsi goście zjadają wszystko najlepsze i tak dalej. Wzorowano ten hotel na gatunkach amerykańskich, jest też wrotami, przez które wdziera się pierwszy oddech oceanu Spokojnego.

Podług danych urzędowych, jest w porcie Yokohamy dwa razy więcej Anglików, niż Amerykanów. Tymczasem słychać na ulicach języki: francuski, niemiecki i amerykański, który tak się różni od angielskiego, jak narzecze patagońskie.

Pewien pan z Bostonu dostarczył mi cennych objaśnień w tym przedmiocie. Bronił on używania „I guess",*) jako wyrażenia szekspirowskiego, które odnaleźć można w „Ryszardzie III". Mam jednak dosyć wiadomości, aby się nie wdawać w dyskusyę z mieszkańcem Bostonu.

— Dobrze więc, nie słyszałem nigdy, żeby prawdziwy Amerykanin mówił: „I guess", ale... reszta waszego nadzwyczajnego języka. Czy sądzisz pan, że ma on co wspólnego z naszym, z wyjątkiem słów posiłkowych, imienia Stwórcy i „damn"? Posłuchaj pan ludzi, siedzących przy sąsiednim stole.

— Są to ludzie zachodni — odpowiedział mieszka-

---

*) Niektórzy Anglicy wyrzucają Amerykanom, że używają nieustannie wyrazów „I guess".

niec Bostonu. — Jeżeli pan chcesz doprowadzić ich do wściekłości, powiedz im, że nie są podobni do Anglików. My w Bostonie, to co innego. Nie dbamy wcale o to, co myślą o nas Anglicy.

Myśl o wysiłku narodu angielskiego, aby marzyć o Bostonie, podczas gdy Boston, po drugiej stronie wody, „nie dba o to" ostentacyjnie — pobudziła mnie do śmiechu. Człowiek ten naopowiadał mi dużo rzeczy. Był szczerym republikaninem. I dla tego zapewne wszyscy jego znajomi należeli do „najlepszych rodów w Bostonie", albo też „przodkowie ich przybyli w te strony na stanku „Mayflower" *). Doznałem wrażenia, że żyję w felietonie. Wyobraźcie sobie człowieka, który uważa za potrzebne wytłomaczyć pierwszemu lepszemu cudzoziemcowi, spotkanemu w podróży, genealogię bohatera i wszystkie, związane z nią anegdoty. Ciekawy jestem, czy dużo jest w Bostonie ludzi, podobnych do mego towarzysza.

— Niema romansów w Ameryce — jęknąłem, jak twarde interesa — objaśnił ktoś, gdy wyraziłem swą opinię o *lynchu*.

W dziesięć minut potem usłyszałem, jak ta sama osobistość rozprawiała o grze, nazwanej „Round the Horn" (brzydka gra; nie grajcie w nią nigdy z cudzoziemcem).

— Szczęście dla tej gry, że miasto Omaha istnieje na powierzchni ziemi. W Omaha właśnie wynaleziono grę w kości, a ten, kto ją wynalazł, dobił się ogromnej fortuny.

Nie odpowiedziałem nic. Zrobiło mi się słabo, a musiał to spostrzedz mój rozmówca.

---

*) „Mayflower" — nazwa statku, na którym przybyli pierwsi Anglicy.

— Przed dwudziestu sześciu laty Omaha wydobytą została z ziemi — powtórzył, patrząc mi w twarz — a ilość kości, które od tego czasu sfabrykowano, nie da się obliczyć.

— Nie ma romansów w Ameryce — jęknąłem, jak gołąb zraniony, do ucha profesora. — Tylko twarde interesa, a najpierwsze rodziny z Bostonu wynalazły gry w kości w Omaha, gdy to miasto wydobytem zostało z ziemi przed dwudziestu sześciu laty i — oto święta prawda. Cóż mam robić z takim narodem?

— Opisujesz pan Japonię, czy Amerykę? Na miłość boską, trzymaj się pan jednego lub drugiego — zawołał profesor.

— Nie moja w tem wina. Mamy szmat Ameryki w restauracyi hotelowej, a doprawdy, jest to również zajmujące, jak Japonia. Jedźmy do San-Francisco posłuchać jeszcze różnych kłamstw.

— Chodźmy zobaczyć fotografie i strzeżmy się mieszać kraje, jak napoje.

Nawiasem mówiąc, jeżeli będziecie gdziekolwiek na Dalekim Wschodzie, bądźcie pokorni wobec kupców białej rasy. Pamiętajcie, że jesteście tylko biednem stworzeniem kupującem z garścią brudnych dolarów w kieszeni i że nikt się przecież nie poniży, aby je wziąć od was. I obserwujcie uniżoność nie tylko w sklepach, ale i w innych miejscach. Pilno mi było wiedzieć, w jaki sposób przepłynę przez ocean Spokojny do San-Francisco, więc pobiegłem, jak roztrzepaniec, do biura, gdzie, jak wskazywały niektóre oznaki, zajmowano się tego rodzaju sprawami. Ale żaden pośpiech nie zamącił spokoju ducha osoby, która siedziała w biurze.

— Mamy dosyć czasu, aby się tem zająć później —

odpowiedział — zresztą idę dziś po południu na wyścigi. Przyjdź pan później.

Zawstydzony, opuściłem zakład. Kiedy parostatek zostawi mnie w Japonii, pocieszę się myślą, że ten młodzieniec miał przyjemność i że dużo wygrał. Wszyscy posiadają konie w Yokohamie, a jest to gatunek tłustych beczułek, jak konie cyrkowe. Nie poszedłem na wyścigi, ale poszedł za mnie pewien mieszkaniec z Kalkuty i, wróciwszy, opowiedział mi, że biegły śmieszne konie pociągowe i przebiegały milę angielską w cztery minuty dwadzieścia siedem sekund.

Kiedy mieszkaniec Bostonu, wpadłszy w zapał, zabierał się do opowiedzenia mi nowych historyi tych potomków „najlepszych rodzin”, profesora opanowała nieprzystojna chęć zwiedzenia ciepłych źródeł i zaprowadził mnie do miejsca, nazywanego Myanoszita.

— Wrócimy później do Yokohamy, ale musimy tam pojechać. Tak tam ładnie!

— Zaczynają mnie już nużyć krajobrazy. Piękne są wszędzie, a nie podobna ich opisać; tymczasem ci ludzie opowiadają dziwne historye amerykańskie. Czy słyszałeś pan kiedy, jak lud z Carmelu zlynchował Edwarda Petrée za to, że apostołował Ewangelię i nie zbierał składki na nabożeństwie? Niema romansów w Ameryce, są tylko twarde interesa. Edward Petrée był...

— Przyjechałeś pan dla oglądania Japonii? Tak, czy nie?

Pojechaliśmy. Najpierw pociągiem, pełnym najgorszego gatunku obieżysasów, a potem cztery godziny w fotelach na kółkach. Wtedy dopiero można ocenić piękność krajobrazu. Po dwunastu kilometrach równiny, przybyliśmy do górskiej rzeki, spienionej i pełnej czarnych głębin. Nad jej brzegami dążyliśmy dro-

gą, wykutą w wulkanicznych skałach, bardzo stromą, ocienioną sosnami, klonami, jesionami i wierzbami. Był to kraj pełny skał, zielenią strojnych i srebrzystych wodospadów, kraj zbyt piękny, aby go brudzić piórem. Na każdym zakręcie drogi, gdzie był piękny widok, stały herbaciarnie, a w nich tłumy zachwyconych Japończyków. Japończyk ubiera się niebiesko, bo wie, że ten kolor odbija dobrze od ciemnej zieloności sosen. Kiedy umrze, musi pójść do jakiegoś innego nieba, bo kolor naszego nie będzie mu pasował.

Jechaliśmy doliną cudownego potoku, dopóki wody nie znikły nam z oczu za skalistem wybrzeżem, skąd tylko dolatywało do nas ich pluskanie i nawoływanie poprzez gęstwinę drzew. W miejscu, gdzie las był najcudowniejszy, łożysko potoku najgłębsze, a zieleń młodej grabiny najświeższa, wybudowano dwie obrzydliwe oberże z drzewa i szyb, oraz wioskę, która żyła ze sprzedaży turystom drewnianych przedmiotów toczonych i inkrustowanych szkłem.

Na pochyłości zbocza i w ogrodzie hotelu roiło się od Australczyków, Anglo-Hindusów, mieszkańców Londynu i obywateli z krajów, po drugiej stronie kanału la Manche leżących. Swymi cudzoziemskimi kostyumami niweczyli oni cały urok krajobrazu. Profesor i ja zsunęliśmy się po tylnej skale i znowu stanęliśmy w Japonii. Po stromych schodach, wśród zbitego gąszczu zarośli, zeszliśmy jakie sześćset stóp w dół, do łożyska tego potoku, nad którym jechaliśmy poprzednio. Powietrze drgało od huku i szumu setek strumieni, a gdziekolwiek można było przejrzeć leśną gęstwinę, widzieliśmy bystry potok, rozbijający się o kamienie. Na górze, w hotelu, pozostawiliśmy listopadowy dzień i przejmujące zimno; tu, w głębi wąwozu,

panował klimat Bengalu z wybuchami prawdziwej pary. Rury z zielonego bambusu doprowadzały ciepłą wodę do dwudziestu łazienek, gdzie na werendach przechadzali się Japończycy w białych i niebieskich szlafrokach, i palili. Z zarośli dochodziły śmiechy kąpiących się i — okropność — z za węgła wyszła czcigodna staruszka, krocząc najswobodniej bez żadnego okrycia, oprócz kąpielowego ręcznika i to niezbyt wielkiego. Zapuściliśmy się głębiej w wąwóz i patrzyliśmy na niebo poprzez splątane gałęzie.

Dziewczęta japońskie, czternasto i piętnastoletnie są wcale nie szpetne. Widziałem ich ze trzydzieści. Widok cudzoziemców nie zawstydzał ich wcale. Zresztą było to coś nakształt kąpieli morskich w Brighton, tylko bez kostyumów kąpielowych. W głębi wąwozu upał był coraz większy, a ciepła woda coraz obfitsza. Przez spojenia rur wybuchała para; dymiło również kamieniste łożysko rzeki, a po zatknięciu laski w ciepłą, wilgotną ziemię, dołek napełniał się wrzącą wodą. To, co jest, nie wystarcza jeszcze mieszkańcom, ryją przeto bezładnie ziemię w różnych kierunkach. Próbowałem zejść do basenu, ale para, która nie działała na skórę Japończyków, wygnała mnie stamtąd. I pomyślałem, co się stanie, gdy kilof dojdzie do źródła, a górnik zmuszony będzie uciekać, ażeby nie być ugotowanym we wrzącej wodzie?

O zmierzchu, gdyśmy powrócili na górę, na jednej z ulic Myanoszity zobaczyliśmy dwóch małych cherubinków, mniej więcej trzyletnich, biorących gorącą kąpiel w beczce, postawionej pod rynną dachu, przed sklepem. Udawali, że się nas zlękli, patrzyli na nas przez palce, dawali nurka i chowali się jeden za drugiego, a ojciec namawiał ich, żeby na nas pry-

snęli wodą. Był to najpiękniejszy obrazek z całego dnia; aby go zobaczyć, warto było znieść widok obrzydliwego, woniejącego farbą hotelu.

*

* *

Odziany był w czarny surdut i gdy go spotkałem na korytarzu, wziąłem go najpierw za misyonarza.

— Byłem na liście przez trzy dni — mruczał chrapliwie — ale to nie moja wina. Powiedziano mi, żeby się pilnować trzeciej kwadry, ale nie dali mi rozkazu na papierze, a dyrektor tutejszy mówi, że whisky nie dobre dla mego zdrowia. Ale, jak mi Bóg miły, to nie moja wina, nie moja wina!

Nie lubię być zamkniętym w hotelu drewnianym, tuż obok takiego pana z marynarki, co miał niedawno atak delirum tremens i mówi do siebie na korytarzach.

LIST VIII

O źródle ciepłej wody i o różnych innych sprawach.

Od Myanoszity do Michni—spory kawałek drogi. Spotkaliśmy więc z obu tych miast mnóstwo ludzi i spędziliśmy przyjemnie czas na pogadance o dakoitach *) i Ekspedycyi Czarnej Góry. Jedną z korzyści podróżowania za granicą stanowi niezawodnie przywiązanie do swych stron rodzinnych. Ludzie, którzy wybierają się za morza, mogą zmieniać dowoli pociągi, ale nie zmienią zwykłego biegu swych myśli.

— Patrz pan, coś nadzwyczajnego — zawołał profesor, czerwony jak burak. — Siedzisz sobie w kąpieli i zwracasz się do gorącego lub zimnego źródła, podług woli, a temperatura jest fenomenalna. Chodźmy zobaczyć, skąd to pochodzi, a potem wracajmy.

O pięć mil od góry jest miejsce, noszące nazwę Wrzącej Góry. Podążyliśmy tam poprzez czarujące gąszcze bambusów i sosen, poprzez trawą zarosłe polanki i znowu sosny, a rzeka tymczasem szumiała w dole. Wreszcie odkryliśmy mierne, wynędzniałe piekło, położone na rozdartem, krwawiącem zboczu góry. Mieliśmy wrażenie, jakby pod osuniętym gruntem zakopano fabrykę zapałek. Woda, w której zapewne gotowano zgniłe jaja, stała w jeziorkach z owrzodzo-

---

*) Rozbójnicy birmańscy.

nymi brzegami, a biały, gęsty dym wydobywał się z podziemnego laboratoryum. Pomimo odoru i siarczanych osadów na czarnych skałach, byłem zlekka zawiedziony, dopóki nie poczułem pod stopami żaru ziemi, rozpalonej tak, jak pokrywa kotła. Nazywają to wygasłym wulkanem. Jeżeli nieobliczona ilość tonn siły, zawartej w kilku stopach błota, nazywa się u Japończyków wygasłym wulkanem, dziękuję niebiosom, że nie zaprowadzono mnie do wulkanu płonącego. Rzeczywiście, nie z obawy o własną osobę, ale przez wzgląd na wątłą skorupę i strach, by nie wywołać wybuchu, stąpałem ostrożnie i nagliłem profesora do powrotu.

— To przecież kocioł, w którym się przygotowywała nasza ranna kąpiel. Wszystkie źródła stąd powstają — objaśniał.

— Cóż mnie to obchodzi. Zostawmy je w spokoju. Nie słyszałeś pan nigdy o wybuchach kotła? Nie uderzaj pan tak po dyletancku laską w ziemię. Możesz otworzyć klapę...

Gdy się widziało Wrzącą Górę, można rozumieć budownictwo japońskie. Jest nietrwałe. Każdy człowiek pali się raz lub dwa razy w życiu. Sklep handlarza dopiero wtedy zasługuje na szacunek, gdy otrzymał chrzest ognia. Ale nikt się nie troszczy o pożar. Jedyna rzecz, która trapi Japończyków, to trzęsienie ziemi. To też budują domy tak, aby im spadały na głowę lekko, jak wiązka jałowcu. Dbając o swe bezpieczeństwo, nie stawiają fundamentów, a narożniki spoczywają na okrągłych kamieniach, zapuszczonych w ziemię. Narożniki te kołyszą się podczas wstrząśnienia i chociaż cały budynek może zupełnie osiąść, niema nigdy poważnych wypadków. Tak utrzymują przynajmniej amatorzy trzęsienia ziemi. Może sam

tego doświadczę, byleby nie w okolicy tak podejrzanej, jak Wrząca Góra.

Uciekłem w przestrachu z Myanoszity i zaraz wpadłem w jeszcze większe opały. Jakiś karzeł w niebieskich spodenkach wrzucił mnie do małego fotelu na pajęczych kółkach i dalejże na dół po spadzistej dróżce; pięliśmy się w górę przez cztery godziny, a teraz zjechaliśmy z góry w pół godziny. Usuńcie wszelkie baryery z drogi Simla i zostawcie ją w spokoju przez dziesięć lat. A potem pędźcie sześć kilometrów najbardziej stromych i chropowatych, pod opieką jednego, jedynego człowieka.

— Sześciu górali hinduskich nie podołałoby temu — zawołał profesor, migając obok mnie na kołyszących się jak kacze nogi kołach i gdy cały wózek znajdował się pod kątem trzydziestu stopni.

Pomyślałem sobie z dumą, że nawet sześćdziesięciu Hindusów nie odważyłoby się w taki bezwstydny sposób brykać po górach z drogocenną osobą Sahiba.

Wsiedliśmy do maleńkiego tramwaju. Składał się on z dwóch wózków, jednego — pierwszej, drugiego — drugiej klasy. Do każdego zaprzężono po dwa konie i rozstawiono je o sto metrów jeden od drugiego. Jeden był pusty, drugi — do połowy zapełniony. Kiedy malutki konduktor nie mógł powstrzymać koni, co mu się przeciętnie zdarzało co dwie minuty, ciągnął gwałtownie za lejce i śmiał się — może z publiczności, która zapłaciła za wspaniały powóz. A był to przecież konduktor artysta. Nie nosił jakiejś filisterskiej miedzianej blachy. Na ramionach niebieskiego żakietu miał wyszyte w półkole trzy białe szyny, a na połach surduta trzy koła tramwajowe stylizowane. Tylko Japończycy potrafią stylizować koła tramwajowe albo też szyny zamieniać na oznaki urzędnicze. Chociaż

trzeba było pół doby na przejechanie czterdziestu kilometrów do Yokohamy, nie pożałowaliśmy tej podróży, kiedyśmy oczekiwali naszego pociągu w wiosce, nad brzegiem morza. Każda większa wioska tworzy jedną ulicę, kilka wiorst długości. Wsie, które posiadają więcej, niż dziesięć tysięcy ludności, zaliczają się do rzędu miast.

— A jednak — mówił mi tego samego wieczora pewien człowiek w Yokohamie — nie widziałeś pan jeszcze okolic najgęściej zaludnionych. Trzeba się udać do kens, czyli powiatów zachodnich. Ludzie są tam istotnie natłoczeni, ale biedy w kraju wogóle niema. Robotnik rolny, o ile ma dosyć ryżu, umie utrzymać rodzinę kosztem czterech centów dziennie, a ceny ryb są też nizkie. Sto funtów ryżu można mieć obecnie za dolara. Ile to wynosi podług systemu hinduskiego? Dwadzieścia do dwudziestu pięciu seerów za rupię. Mniej więcej tyle. Otóż robotnik zarabia trzy i pół dolara miesięcznie. Ludzie wydają tu ogromnie dużo na przyjemności. Potrzebują rozrywki. Nie sądzę, żeby zdołali coś zaoszczędzić. W co wkładają oszczędności? W klejnoty? Nie, nie zupełnie, chociaż szpilki do włosów, jedyny prawie klejnot, noszony przez kobiety japońskie, kosztują niekiedy drogo. Za dobrą szpilkę płaci się siedem lub osiem dolarów, a cena prawdziwych jaspisów bywa bardzo wygórowana. Ale najwięcej pieniędzy topią kobiety w swe obi, czyli, jak wy nazywacie, szarfy. Obi ma dziesięć lub dwanaście metrów długości, a widziałem obi, które sprzedawano hurtem po pięćdziesiąt dolarów sztuka. Każda kobieta, nawet z klasy ubogiej, posiada przynajmniej jedno ubranie jedwabne i jedną obi. Wszystkie oszczędności idą na piękną toaletę. Powiaty zachodnie są najbogatsze. Uzdolniony mechanik zarabia

tam półtora dolara dziennie, a, jak panu wiadomo, robotnicy, pracujący przy lakach i inkrustacyach, to jest artyści — po dwa dolary. W Japonii dosyć jest pieniędzy na bieżące wydatki. Nie zaciągają pożyczek na budowę kolei. Emisyę papierów pokrywają sami. Pod względem kolei żelaznych są Japończycy bardzo postępowi. Umieją budować koleje tanio, znacznie taniej, niż w Europie. Mam pod tym względem nieco doświadczenia, więc mogę powiedzieć, że przecięciowo budowa kilometru wypadnie po 32,000 franków. Nie na Tokaido, oczywiście, to jest nie na drodze, którą pan przebył. Jest to droga rządowa, zbudowana przez państwo, bardzo kosztowna. Ale mówię o kolejach japońskich, długości pięciuset kilometrów, oraz o linii, która ciągnie się na południe od Kobe, i o linii z Kinszinu do wyspy południowej. Istnieje mnóstwo towarzystw kolei mniejszych, po dwanaście kilometrów długości, ale wszystkie zanikają. Na taniość budowy wpływa naturalne położenie kraju. Dowóz szyn łatwy, zawsze bowiem znajdzie się jakiś strumień, płynący w głąb kraju, który je poniesie blizko oznaczonego punktu. Materyał budowlany jest pod ręką, a personel—krajowy. Na czele przedsięwzięć budowlanych stoi wprawdzie kilku inżynierów europejskich, ale sądzę, że gdyby ich usunięto, Japończycy nie przestaliby budować kolei. Umieją ciągnąć dobre zyski. Akcye jednej kolei, zbudowanej z gwarancyą państwa, wypuszczono po osiem od sta. Dotychczas nie potrzeba było odwoływać się do gwarancyi, gdyż kolej przynosi dwanaście od sta. Ogromne ładunki drzewa i żywności idą do większych miast, a poza tem istnieje miejscowy ruch, o którym nie podobna mieć pojęcia, dopóki go się nie zobaczy. Ludzie ruszają się bez ustanku w obrębie trzydziestu kilometrów dla swych inte-

resów i przyjemności, a głównie dla przyjemności. Mówię panu, że Japonia stanie się niezadługo siatką dróg żelaznych. Za jakie dwa miesiące będzie pan mógł przejechać prawie tysiąc dwieście kilometrów samą linią Tokaido, od jednego do drugiego krańca wysp środkowych. Droga ze wschodu na zachód — znacznie trudniejsza. Góry są tu silną przeszkodą; upłynie też nieco czasu, zanim Japończycy zakładać będą koleje w poprzek. Ale zrobią to, niewątpliwie, dla postępu krajowego.

Jeżeli pan chcesz wiedzieć cośkolwiek o polityce Japończyków, nie wiele się pan dowie ode mnie. Mogę powiedzieć, że upili się alkoholem Zachodu i pompują go dalej całemi beczkami. W krótkim czasie przekonają się, ile potrzebują istotnie tego, co nazywamy cywilizacyą i wiele mogą jej odrzucić. Nie chodzi tu o naukę sztuki życia lub zdobywania dobrobytu. Umieją to oddawna. Kiedy ich system kolei żelaznych będzie wykończony i kiedy oswoją się z nową konstytucyą, będą już wiedzieli wszystko, czego ich możemy nauczyć. Oto moje zdanie; ale potrzeba czasu, aby ten kraj zrozumieć. Mieszkam tu od lat dziesięciu, a nie wiele wiem o nim. Udało mi się poznać kilka starożytnych rodzin ze szlachty feodalnej. Żyją we własnem kółku i nie wtrącają się do niczego. Nie wielu z pośród tych ludzi znajdziesz pan w sferach rządzących. Jedyny zarzut, jaki im można postawić, to ten, że wydają ponad możność. Głowy rodów szlacheckich przyjmują ze wszelkiemi formalnościami lecz nie u siebie w domu. Zapraszają do klubu na ucztę i sprowadzają tancerki. Nie przedstawią gościa żonie, nie zarzucili jeszcze starożytnego zwyczaju, że żona siada do jedzenia, dopiero gdy mąż wstanie od stołu. Powiesz pan, że tak, jak u pierwotnych plemion Indyi?

Istotnie, bardzo lubię Japończyków, ale uważam ich za plemię pierwotne. Nie uwierzy pan, że są niesumienni i niestaranni w robocie. Chińczyk wogóle jest znacznie większym nicponiem, niż Japończyk; ale ma dosyć rozsądku, żeby zrozumieć, że uczciwość jest najlepszą polityką, i postępuje odpowiednio do tego. Japończyk zaś umie być nieuczciwym, aby sobie oszczędzić kłopotu. Jest pod tym względem podobny do dziecka.

Ileż to już razy musiałem wysłuchać podobnego zdania? Wszędzie cudzoziemcy mówią to samo o owych grzecznych, zręcznych, maleńkich ludziach, którzy przepędzają życie śród kwiatów i dzieci i palą tytuń tak łagodny, jak ich obejście. Smuci mnie to; ale po namyśle dochodzę do wniosku, że naród bez wady byłby doskonałością. A wtedy wszystkie inne narody powstałyby przeciwko niemu i rozszarpałyby go na kawałki. I nie byłoby już wcale Japonii.

— Dam panu cały dzień, aby sobie przeżuć te myśli — zawołał profesor. — Potem pojedziemy do Nikko i do Tokio. Kto nie widział Nikko, nie rozumie słowa „piękny”.

Yokohama nie jest miejscem odpowiedniem do uporządkowania wrażeń. Ocean Spokojny puka do twoich drzwi i żąda, aby nań patrzeć; japońskie i amerykańskie statki wojenne przyciągają poważnie uwagę; na korytarzach Grand-Hôtelu gawędzisz z jenerałami hiszpańskimi, lśniącymi od złota, a potem pochłaniają cię do reszty sklepy osobliwości. Niezbyt to miła rzecz patrzeć, gdy Sahib w wielkim kapeluszu panamskim podaje ci kartę swego domu, zupełnie jak kupiec jedwabiów z Delhi. Uczuwasz litość dla tego człowieka, dopóki nie usiądzie, nie poczęstuje cię cygarem i nie zacznie opowiadać o różnych rzeczach,

o swych chorobach, o swojem powodzeniu w Kalifornii, gdzie wciąż wygrywał i przegrywał pieniądze, i o swoich nadziejach na przyszłość. Zaczynasz wtedy pojmować, że stąpasz po nowym zgoła świecie. Rozmawiaj z każdym, kogo spotkasz, jeżeli okazuje najdrobniejszą chęć rozmowy, a zbierzesz, jak ja, mnóstwo historyi, które ci posłużą później. Nie wszystkie, niestety, nadają się do druku. W chwili, gdy zamierzałem wyzwolić się od wpływów zewnętrznych i zasiadłem do stołu, aby napisać coś poważnego o przyszłości Japonii, wszedł do mnie czarujący człowiek, który całe życie spędził na zbieraniu osobliwości hinduskich i japońskich, a teraz przybył do tej okolicy dla odszukania kilku książek, których mu braknie w zbiorach. Czy można sobie wyobrazić rozkoszniejszą egzystencyę, jak takie podróże po świecie, gdy się ma nadzwyczajną wiedzę specyalisty? I w kilka minut potem uprowadził mnie ze świata gadatliwych ludzi, którzy nas otaczali, w świat cichy i spokojny, gdzie znawcy spędzają całe tygodnie na przypatrywaniu się rzadkiemu bronzowi i oddają całą Japonię za gardę od miecza, odrysowaną przez wielkiego artystę i — w rezultacie są straszliwie oszukani...

— Kto jest obecnie najznakomitszym artystą w Japonii? — zapytałem.

— Umarł biedak w zeszły piątek, w Tokio, a niema następcy. Nazywał się Kiosai i, wogóle, nie zabierał się inaczej do pracy, jak po pijanemu. Najlepsze obrazy malował wówczas, gdy był pijany.

— „Wzruszony". Artyści nie są nigdy pijani.

— Racya. Pokażę panu gardę od szabli, zrobioną według jego rysunku. Wszyscy najlepsi nasi artyści robią mnóstwo szkiców. Kiosai tracił czas na szkice dla przyjaciół. Gdyby był trzymał się wyłącznie ma-

larstwa, byłby zostawił dwa razy tyle. Kiedy pan będzie w Tokio, niech pan się postara o dwie małe jego książeczki, zatytułowane „Szkice pijaka". Są to obrazy, które rysował, gdy był... wzruszony. Mają w sobie tyle werwy i rozpędu, że wystarczyłoby na pół tuzina pracowni. Uczył się u niego raz pewien artysta angielski. Ale pędzel Kiosai nie należał do tych, które się udzielają, chociaż mógł wyjaśnić swemu uczniowi nieco procederów technicznych. Czy widziałeś pan kiedy jakiego kruka, narysowanego przez Kiosai? Poznasz go pan wszędzie. Umiał on wyrazić wszystkie złe myśli, przechodzące przez głowę kruka — kruk w Japonii jest bratem szatana — i to na rysunku sześciocalowym, dwoma rzutami pędzla, umaczanego w tuszu. Spojrzyj pan na gardę, o której mówiłem. Jakże się to panu wydaje pod względem uczucia?

Na okrągłej blasze żelaznej, mającej cztery cale średnicy i przedziurawionej po środku dla osadzenia rękojeści, Kiosai naszkicował postać kulisa, usiłującego zwinąć płaszcz, który rozwiewa wiatr — nie zimny wicher, ale łagodny wietrzyk letni. Kulis bawi się, płaszcz igra tak samo. Za chwilę płaszcz będzie złożony i uśmiechnięty kulis pójdzie dalej.

Oto, co pomyślał Kiosai, a wykonał wiernie robotnik najdelikatniejszemi pociągnięciami rylca, dla tego tylko, aby przedmiot mógł spocząć w Londynie w gabinecie jakiego kolekcyonisty.

Oglądałem przedmiot z szacunkiem.

— Człowiek, tworzący takie rzeczy, mógłby się zabić, gdyby stracił zdolność podobnych rzutów rylca. Lepiej dla niego, że umarł, ale żałuję, żem go nie poznał. Pokaż mi pan jeszcze cośkolwiek.

— Mam też malowidło Hokusaia, wielkiego artysty, który żył w końcu osiemnastego i na początku dziewiętnastego wieku. Musiałeś pan coś słyszeć o Hokusai?

— Owszem. Słyszałem, że niepodobna dostać autentycznego jego obrazu.

— To prawda, ale ten pokazywałem ekspertowi rządu japońskiego, osobie, u której zasięga rady, w razie wątpliwości, mikado; następnie widział to jeden z najlepszych europejskich znawców sztuki japońskiej, a mam też i własny pogląd, aby wiedzieć, ile jest warta gwarancya człowieka, od którego obraz kupiłem. Patrz pan.

Rozwinął zwój jedwabny, na którym ukazała się postać dziewczyny, niosącej na ręku paczkę bielizny, przed chwilą upranej, jak wskazywała stojąca obok wanienka. Ciemno-niebieska chusteczka, rzucona lekko na lewe przedramię, ramię i szyję, przygotowana była do związania bielizny, kiedy paczka będzie złożona na ziemi. Kontury prawej ręki dostrzedz było można poprzez lekką tkaninę rękawa. Prawą ręką trzymała bieliznę z wierzchu, lewą podtrzymywała ją od spodu. Z pod sztywnych, granatowo-czarnych włosów wyglądały zarysy lewego ucha.

Dopiero po kilku minutach, gdy już stwierdziłem nadzwyczajną pewność rysunku, zauważyłem niesłychane wykończenie szczegółów, począwszy od ozdobnych szpilek we włosach do groszkowanych sabotów drewnianych.

— Zwróć pan, z łaski swojej, uwagę na to, że malowidło na jedwabiu nie znosi poprawek — objaśnił z dumą właściciel. — Raz rzucona kreska musi pozostać. Można tylko zaznaczyć lekko kontury węgiel-

kiem, który się następnie zdmuchuje szczoteczką z piór. Jakżeż ón się znał na tkaninach i barwach, jak odczuwał wybornie karnacyę kobiety! Któżby go mógł nauczyć dziś czegośkolwiek pod tym względem?

Pojechaliśmy potem do Nikko.

LIST IX

Legenda o moście w Nikko oraz historya uniknięcia nieszczęścia.

Po pięciu godzinach jazdy koleją oczekiwało nas czterdzieści kilometrów fotela na kółkach. Przewodnik wygrzebał jakiś odwieczny wózek i po japońsku złudził nas obietnicą pośpiechu i wygody, jakich wózek fotelowy zapewnić nie może.. Nie podróżujcie nigdy do Nikko na wozach. W mieście, z którego się wyjeżdża, konie są nieprzyzwyczajone do zaprzęgu i co trzeci koń zazwyczaj wierzga i kopie towarzyszy. Staje się to powodem ciągłych niepokojów z wyjątkiem miejsc, gdzie spadzistość drogi nie pozwala na wzruszenia. Do Nikko jedzie się aleją, wysadzaną kryptomeryami, drzewami, podobnemi do cyprysów, osiemdziesiąt stóp wysokich, z pniami czerwonymi lub srebrzysto-brunatnymi oraz żałobnymi, ciemno-zielonemi gałęźmi. Nazywam to aleją, ale trzeba powiedzieć, że droga ta ciągnie się czterdzieści kilometrów, a drzewa po obu stronach drogi rosną tak gęsto, że ich pnie, splątane ze sobą, tworzą prawdziwe ściany drewniane. W miejscach, gdzie trzeba było po drodze pobudować wioski, to jest mniej więcej co cztery kilometry, powyrywano garść tych olbrzymów, jak zęby ze szczęki, dla zrobienia miejsca na domy. Potem drzewa łą-

czą się napowrót, aby trzymać straż przydrożną. Brzegi gościńca jarzyły się od azalii, kamelii i fijołków. „Wspaniałe! cudowne! niesłychane!” śpiewaliśmy chórem, profesor i ja, przez pierwsze osiem kilometrów, w przerwach pomiędzy wstrząśnieniami. Drzewa nie zwracały uwagi na nasze zachwyty i rosły wciąż tak samo gęsto, jedno przy drugiem. „Perspektywy cieniów, rzucanych przez kolumny”—są to zdania bardzo zajmujące w książkach, ale, śród chłodnego dnia, niewdzięczne serce ludzkie, dałoby ze dwa kilometry tych rozkoszy, byleby skrócić podróż. Byliśmy już ślepi na otaczające nas piękności, na ciągnące drogą, juczne konie z grzywami, jak miotły i piekielnym charakterem; na pielgrzymów w białych i niebieskich chustach i szarych kamaszach, którzy dźwigali na plecach dzieci, podobne do posągów Buddy; na czyste wózki wiejskie, ciągnione przez maleńkie koniki, a naładowane rudą miedzianą z kopalni i ładunkiem s a k e z gór; na koloryt i ożywienie wiosek, gdzie dzieciaki wydawały radosne okrzyki, a wszyscy starzy ludzie śmieli się wesoło. Szare pnie drzew eskortowały nas uroczyście przez cały ciąg tej straszliwej drogi, naprawianej faszyną i po pięciu godzinach podróży, dojechaliśmy nareszcie do Nikko, mającego wygląd dużej wsi, rozłożonej u podnóża góry. Wtedy natura, jak gdyby pragnąc wynagrodzić nas za udręczenia, roześmiała się do nas potokiem światła słonecznego. I na jakiż cudny widok padło to światło! Kryptomerye tworzyły wprost przed nami ścianę ciemnej zieloności, bystry potok toczył zielone wody po niebieskich kamieniach, a pomiędzy potokiem a drzewami rzucony był czerwony most, poświęcany most z czerwonej laki, po którym nikomu stąpać nie wolno, prócz mikada.

Zręczni to artyści ci Japończycy. Bardzo już da-

wno, pewien król o lwiem sercu przyszedł nad brzeg rzeki Nikko, spojrzał poza drzewa na potok i góry, skąd przybył, a potem na łagodne zarysy zbóż i przełęcze zadrzewionych gór. „Braknie — zawołał — jednego barwnego tonu na pierwszym planie, aby to wszystko zebrać razem” i postawił małe dziecko w białych i niebieskich szatach pod imponującemi drzewami, aby się przekonać, jaki to wyda efekt. Ośmielony jego dobrotliwym wyglądem, jakiś stary żebrak poprosił go o jałmużnę. Król ściął machinalnie głowę żebrakowi, bo nie lubił, gdy mu przeszkadzano. Krew popłynęła karminową strugą po granitowem wybrzeżu rzeki. Król się uśmiechnął. Przypadek rozstrzygnął za niego zadanie. „Zbuduj tu most!”—zawołał do cieśli nadwornego — „i oby był zupełnie podobny w kolorze do tej rzeczy, którą tu widział na kamieniach. Zbuduj także obok most z szarego kamienia, bo nie chcę zapominać o potrzebach mego narodu”. I rzuciwszy dziecku, które stało po drugiej stronie potoku, tysiąc sztuk złota, poszedł dalej. Ułożył krajobraz. Co się tyczy krwi, zmyto ją i zgoła o niej zapomniano. I taką jest historya mostu w Nikko. Nie znajdziecie jej w Baedekerze.

Poszedłem za głosem rzeki, przechodząc przez maleńką, do zabawki podobną wioskę i jakieś chropowate zaułki, przeszedłem most i dostałem się pomiędzy opleśniałe głazy i wiosenne kwiaty. Wzgórze, strome i porosłe lasem, jak zbocza czerwonego Aravallisu, pięło się po lewej stronie; z prawej — oko błądziło po wiosce, żniwach na polach, wysokich, jak wieże, cyprysach i spoczęło wreszcie na zimnym, niebieskim wierzchołku, opasanym płachtami nie stopniałego jeszcze śniegu. U podnóża tej góry stał hotel Nikko. Mieliśmy maj. Przeleciał wróbel ze źdźbłem trawy w dziobku na budowę swego gniazdka i dowiedziałem się w ten spo-

sób, że wiosna przywędrowała do Nikko. Tak się tam w waszych Indyach zapomina o zmianach pór roku!

Nad brzegiem rzeki siedziało szeregiem pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt postaci ze skrzyżowanemi nogami, w których doświadczone oko poznało odrazu posążki Buddy. Miały one wszystkie, nawet te, które mech pokrył jakby trądem, spokój i nieruchome spojrzenie tego Pana Ziemi. „W rzeczywistości nie były to posążki Buddy, ale co innego — ofiary wielkich zapomnianych ludzi zmarłym instytucyom albo może pomniki przodków. Baedeker wam to wyjaśni. Była to długa czereda upiorów. Przyjrzawszy się bliżej, zobaczyłem, że różnią się między sobą. Niektóre trzymały w złączonych dłoniach mnóstwo kamyków rzecznych, złożonych tam widocznie przez dusze pobożne. Zapytałem jednego z przechodniów, co to znaczy, a ten odpowiedział:

— Są to oblicza boga, który bawi się z małemi dziećmi tam wysoko, w niebie. Opowiada im bajki i buduje domki z kamyków. Znoszą mu ich tyle, aby nie zapomniał bawić się z dziećmi i miał z czego budować.

Nie wiem, czy przechodzień mówił prawdę, ale biorę tę legendę za słowa Ewangelii. Tylko Japończycy mogli wymyślić boga, bawiącego się z małemi dziećmi. Po tem wyjaśnieniu, postacie przybrały dla mnie inne kształty; nie były już posągami „grecko-buddystycznymi", ale mymi osobistymi przyjaciółmi. Dodałem najweselszej z nich kupę kamyków. Piersi jej były ozdobione małemi tabliczkami, na których wyryto modlitwy. Nieco wyżej, ponad brzegiem rzeki, była samotna skała, wyciosana, jak mi mówiono, w kształt ołtarza szintoistów. Wiedziałem o tem coś więcej: przedmiot był hinduski; oglądałem z każdej strony

gładkie kamienie, szukając zwykłej mazaniny czerwoną farbą. Na gładkiej skale, nachylonej ku wodzie, wyryto pewne znaki sanskryckie, podobne z dołu do tych, które widać na młynach tybetańskich. Nie pojmując nic z całej sprawy i dziękując Bogu, żem nie zabrał ze sobą Baedekera, spuściłem się nad brzeg rzeki, zamienionej teraz we wściekły potok. Czy znacie Strid, w pobliżu Boltonu, w miejscu, gdzie rzeka w całym pędzie ściśnięta jest nagle w przesmyk, dwa metry szeroki? Strid w Nikko stoi jeszcze wyżej. Niebieskie skały podziurawione są przez wodę, jak gąbka. Wznoszą się jakie sześć stóp wysoko, a wiosną pokryte są kwitnącemi azaliami. Przechodzień, którego spotkałem przy bożkach, stanął poza mną, gdy się grzałem na odłamie skały. Wskazał palcem na skały i rzekł:

— Gdybym to wymalował tak, jak jest, wszyscy krytycy z dzienników powiedzieliby, że jestem kłamcą.

Niesłychany prąd pędził prosto ze wzgórza, zabarwionego na różowo poprzez błękitny wąwóz, również w różowe zdobny plamy. Samotna sosna trzymała straż nad wodą. Dałbym wiele za to, żebym mógł oglądać dokładną reprodukcyę tego widoku. Przechodzień odszedł mrucząc, zapewne z gniewu na sądy malarskie.

Wysłany za mną przewodnik szukał mnie nad brzegiem rzeki i zaproponował, aby „obejrzeć świątynie”. Przeklinałem wtedy wszystkie świątynie, czując się dobrze na ciepłym piasku, w wyżłobieniu skały i nie myśląc o niczem, jak to bydło szczypiące trawę na przeciwnym brzegu.

— Śliczne świątynie — wołał — niech pan idzie zobaczyć. Wkrótce będą zamknięte, kapłani dodali umyślnie pół godziny do zwykłego terminu.

Zegary w Nikko idą o pół godziny wcześniej, niż

należy, kapłani bowiem zauważyli, że turyści przybywają o trzeciej po południu i starają się obejrzeć wszystkie świątynie przed czwartą, to jest przed zamknięciem. Pozbawia to kościół własnych praw, więc jego słudzy posuwają zegar, a Nikko, nie znając się zgoła na wartości czasu, jest z tego zadowolone.

Przeklinając świątynie, zrobiłem głupstwo i to takie, za które moje biedne pióro nie zdoła nigdy odpokutować właściwie. Weszliśmy na wzgórze drogą, wyłożoną szarymi głazami. Kryptomerye przy drodze w Nikko były to dzieci w porównaniu z olbrzymami, rzucającymi tu cień na nasze głowy. Pomiędzy ich kamienno-szarymi pniami przeświecała krwawa czerwień mostu mikada. Ten wielki król, co zabił żebraka, był bardzo rad ze swego doświadczenia. Przeszedłszy pod kamiennym łukiem, weszliśmy na kwadratowy dziedziniec, rozbrzmiewający odgłosem młotów. Trzydziestu lub czterdziestu ludzi waliło w kolumny i stopnie świątyni, zbudowanej z krwawnika i suto złoconej.

— Jest to — objaśnił spokojnie przewodnik — warsztat. Odnawiają laki. Odrywają najpierw dawniejsze.

Czy zdarzyło wam się kiedy odrywać lakę od drzewa? Uderzałem kolumnę z całej siły i po jakich sześciu uderzeniach zdołałem odłupać maleńki kawałek materyału, przypominającego czerwony róg. Nie zdradzając zdziwienia, zapytałem o nazwę jeszcze wspanialszej świątyni, która się wznosiła po drugiej stronie dziedzińca. Była ona tak samo pokryta czerwoną laką, ale nad głównem wejściem wyrzeźbione były z drzewa trzy małpy: jedna zatykająca rękoma uszy, druga zasłaniająca usta, trzecia — oczy.

— W tem miejscu—tłomaczył przewodnik—były stajnie za czasów, gdy Daimio trzymał tu konie. Te

trzy małpy nie słyszą nic złego, nie mówią nic złego i nie widzą nic złego.

— Bardzo słusznie — odrzekłem. — Co za wspaniałe godło nad cesarskiemi stajniami, gdzie parobcy kradną obroki. Byłem wściekły na siebie, żem się tak bacznie przyglądał warsztatowi i stajniom, chociaż na całym świecie pełno było podobnych.

Weszliśmy do świątyni czy grobowca, sam nie wiem, przez bramę z rzeźbionych kolumn. Jedenaście z nich pokrywał deseń z listków koniczyny, zwróconych ku dołowi, na dwunastej zaś koniczyna zwrócona była do góry.

— Nie trzeba, żeby wszystkie były jednakowe — zawołał energicznie przewodnik. — Zarazby się zdarzyło coś złego.

Zdaje mi się, że ta świadoma zmiana ogólnego porządku była jedyną ofiarą rysownika dla potężnych bogów, tak zazdrosnych o sprawność ludzką. Poza tem artysta zrobił, co chciał, wykonał dzieło godne bogów, arcydzieło z drzewa, połyskującego laką, z emalii, inkrustacyi, rzeźby i bronzu, kutego i artystycznie cyzelowanego. Kiedy zdawał bogom sprawę ze swej pracy, uniknął zazdrości sędziów, wskazując na kolumny z listkami koniczyny, jako dowód, że jest zdolnym śmiertelnikiem i nie myśli im dorównać. Podobno nikt dotąd nie dał dokładnego rysunku, ani opisu świątyni w Nikko. Mógłby tego spróbować jaki Niemiec, ale braknie w jego pracy uczucia. Francuz jedynie umiałby oddać uczucie, ale byłby niedokładny. Co do mnie, wyniosłem stamtąd mętne wspomnienie przepychu drzwi z emaliowanemi zawiasami, ze złoconymi progami i oddrzwiami z czerwonej laki, ujętemi w ramy bronzowej kraty. Drzwi te prowadziły do słabo oświetlonego przedsionka, w którym na błękitnem sklepieniu swawoliły złote smo-

ki, rzygające ogniem. Cicho stąpający kapłan poruszał się niespokojnie w ciemności i pokazał mi wielką, pękatą, półtora metra wysoką latarnię, którą niegdyś przysłali świątynie w darze kupcy holenderscy.

Schody świątyni były z czarnej laki, ramy zaś rozsuwanych, parawanowych ścian — z czerwonej. Obojętne mi było zgoła, że tyle, takie stosy złota kosztowała ta świątynia. Chciałem wiedzieć tylko, jakimi byli ludzie, którzy wtenczas, kiedy te kryptomerye były zaledwie krzaczkami, przepędzali życie w jakiemś zagłębieniu lub zakątku świątyni, a, umierając, przekazywali obowiązek zdobienia świątyni swym potomkom, chociaż ani ojciec, ani syn nie mieli nadziei oglądania ukończonego dzieła. Postawiłem to pytanie przewodnikowi, który wyładował mi cały labirynt Daimiów *) i Szogunów **), najwyraźniej z Baedekera wzięty.

Po chwili wpadła mi do duszy myśl o budowniczym. Powiedział on sobie: „zbudujemy krwawo-czerwone kaplice w katedrze". Posadzili więc katedrę przed trzystu laty, wiedząc, że pnie drzew będą kolumnami, a niebem sklepienie.

Naokoło każdej świątyni poustawiane było istne wojsko drogocennych latarni z bronzu lub z kamienia, ozdobionych, jak wszystko inne, potrójnym listkiem koniczyny, która stanowiła herb Daimiosa. Latarnie były ciemno-zielone lub szare, osuszone i nie oświetlały wcale czerwonej ciemni. Tam niżej, w pobliżu świętego mostu, sądziłem, że czerwień jest barwą wesołą. Na pochyłości wzgórza, pod drzewami i pod cieniem dachów świątyni spostrzegłem, że jest to barwa smutna.

---

*) Daimio—członek starej arystokracyi japońskiej przed 1871 r.

**) Wyżsi dostojnicy wojskowi.

Kiedy wielki król zabił żebraka, tam przy moście, nie roześmiał się radośnie, jak powiedziałem. Poczuł smutek i wypowiedział takie słowa: „Sztuka jest Sztuką i godną jest wszelkiej ofiary. Zabierzcie tego trupa i módlcie się za moją duszę". Raz tylko, na jednym z dziedzińców świątyni, natura podniosła bunt przeciw prawom wzgórza. Dzikie jakieś drzewo, nie zwracając uwagi na wspaniałe kryptomerye, roztoczyło przepych blado-różowych kwiatów na tle szarego muru nad rowem. Wyglądało to tak, jak dziecko śmiejące się na widok wspaniałości, której nie jest w stanie zrozumieć.

Schodząc ze wzgórza, dowiedziałem się, że całe Nikko w zimie pokrywa ogromny, dwie stopy wysoki śnieg i kiedy właśnie próbowałem wyobrazić sobie, jak surowo wyglądać muszą przy świetle zimowego słońca barwy biała i ciemno-zielona, spotkałem profesora, pomrukującego z zachwytu.

— Coś pan robił? co pan widziałeś? — zapytał.

— Nic. Nazbierałem mnóstwo wrażeń pożytecznych dla mnie jedynie.

— To znaczy, że nadmiar tych wrażeń poślesz pan do Indyi.

I taka mnie z tego powodu zdjęła pasya, że zaraz po południu wyjechałem z Nikko, a przewodnik wykrzykiwał, że nie widziałem nawet połowy cudów miejscowych.

— Jest tu jezioro — mówił. — Są góry; musicie panowie obejrzeć.

— Chcę wrócić do Tokio, aby badać nowoczesną Japonię. Ta okolica mnie nudzi, bo jej nie rozumiem.

— Jestem przecież znanym przewodnikiem Yokohamy — odpowiedział poczciwie.

LIST X

Opisuję, jak srodze spotwarzałem armię japońską i jak wydawałem gazetę cywilną i wojskową, niegodną zupełnie wiary.

Uczyniłem źle. Wiem o tem. Winienem był kołatać do drzwi poselstwa i prosić o pozwolenie zwiedzenia pałacu cesarskiego. Należało rozpocząć różne badania, zapoznać się z niektórymi przywódcami stronnictwa liberalnego i radykalnego. Tysiąc rozmaitych rzeczy trzeba było zrobić, a tymczasem, nie wiem, jak się to stało,—wczesnym rankiem zagrały trąby i posłyszałem stąpania zbrojnych ludzi pod memi oknami. Plac mustry był tuż przy hotelu Tokio; wojska cesarskie szły na ćwiczenia. Ktoby tam sobie zaprzątał głowę polityką albo świątyniami? Pobiegłem co tchu za wojskiem.

Niełatwo zebrać dokładne dane o armii japońskiej. Przechodzi ona nieustanne choroby reorganizacyi. Obecnie, o ile można zbadać, siła jej wynosi około stu siedemdziesięciu tysięcy ludzi. Każdy służyć musi trzy lata, ale za sto dolarów może skrócić sobie czas służby o rok przynajmniej. Mówił mi o tem ktoś, co użył tego fortelu. Ten ktoś objaśnienie swe zamknął takim wyrokiem: „Armia angielska nic nie warta. Tyl-

ko marynarka jej coś warta. Widziałem dwieście razy armię angielską. Nic nie warta".

Na placu mustry stała kompania piechoty oraz oddział, który dla krótkości nazwę konnicą. Piechota wykonywała łatwe manewra w ściśniętych szeregach; ruchy konnicy były ogromnie urozmaicone i niezwykłe. Przed piechotą skłoniłem się z uszanowaniem; konnicę, wstydzę się wyznać, pokazywałem palcem szyderczo. Ale niechże opiszę, com widział. Podobieństwo piechoty japońskiej do piechoty gurkha staje się dobitniejsze, gdy się ją ogląda w całych szeregach. Z powodu systemu dość luźnego poboru do wojska, wartość rekrutów jest bardzo nierówna. Widziałem wiele osób w okularach; nazwa „żołnierzy" byłaby dla nich zbyt pochlebną; zapewne używano ich do posługi sanitarnej albo też w intendenturze. Z drugiej strony widziałem całe tuziny maleńkich ludzi, którzy posiadali karki byków, szerokie piersi, proste plecy i szczupły brzuch. Spotkałem już przedtem na stacyi kolejowej, na prowincyi, żołnierza z drugiego pułku piechoty; miał tyle właśnie brutalnego zuchwalstwa, ile potrzeba żołnierzowi: na pytania moje nie dał odpowiedzi, a przedarł się przez tłum za pomocą kułaków. Gurkha z pułku księcia Walii postąpiłby nie lepiej. Gdyśmy się tłoczyli w tłumie, podczas odbierania biletów, przesunąłem nieznacznie dłoń po muskułach ręki i piersiach tego maleńkiego człowieczka. Widocznie mają dobry system gimnastyki w armii japońskiej. Jeżeli wszyscy żołnierze drugiego pułku piechoty podobni są do tego wzoru, można im pozazdrościć.

Żołnierze, ćwiczący się w Tokio, należeli do czwartego lub do dziewiątego pułku piechoty, a mustrowali się w tornistrach, umocowanych silnie na plecach, lecz, o ile mi się zdaje, próżnych. W pełnym ryn-

sztunku, takim, jaki widziałem u szyldwacha na zamku w Osace, byliby zbyt obciążeni. Co się tyczy oficerów, tworzyli oni zbiór najnędzniejszych ludzi, na jakich mogła się zdobyć Japonia: — w okularach, małego wzrostu nawet na Japończyków, z zapadłą piersią i sterczącemi łopatkami. Wydawali rozkazy skrzeczącym głosem i musieli biedz kłusa, ażeby nadążyć żołnierzom. Żołnierz japoński ma chód posuwisty i biegnie szybko, wyćwiczony, jak kulis przy wózkach fotelowych. Przez cały czas mej obserwacyi, to jest przez trzy godziny, raz tylko zmienili porządek, a mianowicie maszerowali dwójkami z bronią na ramieniu.

Marsze i przerwy były takie same, jak w naszych oddziałach, ale zwroty czynili żołnierze niezupełnie porządnie, a oficerowie nie zwracali na to uwagi. O ile mogłem wywnioskować, mustra ich jest odmienną od naszej „kontynentalnej". Słowa komendy były również pięknie niezrozumiałe, jak te, które się rozlegają na naszych manewrach; w przerwach oficerowie każdego oddziału upominali żołnierzy z wielką gwałtownością, wywijając szablami w sposób całkiem niewojskowy. Dokładność ruchów żołnierskich jest niezrównana. Cwiczyli się przez trzy godziny, a gdy dawano im kiedyniekiedy rozkaz „odpoczynku" dla nabrania oddechu, daremnie szukałem w całych szeregach śladów znużenia. Stali swobodnie, nie poprawiając ani butów, ani krawatów, ani guzików. Przyklękali bardzo sprawnie, pomimo wielkiej długości bagnetów. Obawiałem się, że przy swym małym wzroście ponadziewają się na ostrza; tymczasem odrzucali je zgrabnie na bok przy klękaniu. Biegli porządnie i czysto, jak nasi gurkha.

Nie jest to myśl chrześcijańska, ale dałbym wiele za to, by widzieć te oddziały w walce z naszą piecho-

tą hinduską — chciałbym jedynie zobaczyć, jak pracują. Jeżeli są odważni, a w przeszłości niema dowodów na to, żeby im zbywało na męstwie, powinni być przeciwnikiem pierwszorzędnym. Gdyby, zamiast słuchać rozkazu tych szkieletów, byli pod wodzą oficerów angielskich i mieli lepsze karabiny, nie ustępowaliby najlepszym wojskom na wschodzie od Suezu. Mówię tu, oczywiście, o tych maleńkich ludziach do wszystkiego, których widziałem.

Takie moje szczere zdanie o piechocie japońskiej. Kawalerya bawiła się po drugiej stronie pola manewrów, zataczając koła w prawo i w lewo, próbując Bóg wie jakich zwrotów wojska i tak dalej. Wolałbym wierzyć, że ci panowie, których miałem przed sobą, są raczej rekrutami. Ale wszyscy nosili broń, a oficerowie byli tyleż zręczni, co i żołnierze. Połowa ubrana była w białe kurtki negliżowe i płaskie szlafmyce, w kamaszki z bronzowej skóry z krótkiemi ostrogami i czarne strzemiączka. Mieli też karabinki i pałasze,—pałasz u boku, a karabinek umocowany z tyłu; ani śladu martyngałów, tylko wielkie, ciężkie siodło ze skórzanym popręgiem, a małe koniki, których nie było widać z olbrzymiej grzywy i ogona, dźwigały cały ten ciężar. Jeżeli się małemu konikowi zakłada dwufuntowy munsztuk do pyska, obraża się jego uczucia. Jeździec, który nosi, jak japoński kawalerzysta białe, wełniane rękawiczki, nie może dobrze trzymać cugli. Kiedy kieruje konia obu rękami, leżąc prawie na końskim karku, a strzemiona ma bardzo krótkie, łatwo konikowi pozbyć się takiego jeźdźca. Nie miałem też nigdy w życiu podobnego widowiska jazdy konnej, jak na placu ćwiczeń wojskowych w Tokio. Bardzo ładne kucyki, pewne w nogach jak antylopy, pełne ognia, mogłyby pod tak lekkim

jeźdźcem, jak żołnierz japoński utworzyć doskonałą „piechotę konną”. A tymczasem naród, skłonny do ślepego naśladownictwa, zapragnął utworzyć z nich ciężką kawaleryę. Dopóki zwierzątka kłusowały z całą powagą w kółko, nie przykrzyła im się robota. Ale gdy przyszła pora ścinania głów tureckich, zaczęły objawiać niezadowolenie. Śledziłem oddział, który, uzbroiwszy się w długie, drewniane miecze, bawił się w wyprawę na Turka. Konik ruszył łagodnym galopem, jeździec zaś zebrał cugle w lewą rękę, a w prawej trzymał drewniany oręż, podobny do lancy. Potem konik rzucił się nieco w bok, potrząsnął grzywą i zaczął objeżdżać w kółko głowę Turka. Jeździec ani naciskiem kolan, ani pociąganiem cugli nie dawał mu wskazówki, czego żąda, tylko zaczynał go kłóć ostrogami od łopatek do zadu i szarpać żelazo, które biedne zwierzę miało w pysku. Konik nie mógł ani podnieść łba, ani wierzgnąć, ale otrząsnął się i zrzucił natręta na ziemię. Powtórzyło się to trzykrotnie w moich oczach. Katastrofy nie można było nawet nazwać wypadkiem. Było to tylko ześlizgnięcie się wskutek niedoświadczenia, bawełnianych rękawiczek, trzymania cugli obu rękoma i siodła wysokiego, jak stóg siana. Niekiedy koń szedł prosto do słupa, a jeździec z takim zamachem walił poza siebie w łeb Turka, że blizki był wylecenia z siodła „o cały świat za szerokiego” *). To uroczyste przedstawienie powtórzono wielokrotnie. Mogę też przyznać z całą uczciwością, że koniki japońskie objawiają wyraźną chęć wyłamania się z szeregów i pozbycia się jeźdźców, czego nigdy nie zrobi koń jazdy angielskiej. Kilka razy oddział puścił się w strasznym galopie do

---

*) Shakespeare.

szarży. Gdy trzeba było stanąć, ludzie przechylali się w tył i szarpali gwałtownie cugle, konie zaś spuszczały łby do samej ziemi i opierały się, ile mogły. Szarżowali w kierunku mojej osoby, ale byłem miłosierny i nie opróżniłem połowy siodeł, co mogłem uczynić z łatwością, gdybym tylko podniósł ręce w górę i krzyknął: Hi!... Najsmutniejszy był widok instruktorów, którzy sami nie umieli nic, a tymczasem kazano im z tej gromady szczurów tworzyć konie wojskowe. Dla czego się to nie udaje? Na twarzach ludzi malowało się cierpliwe, bolesne zdumienie, ja zaś miałem ochotę wziąć którego z nich w objęcia i dać mu kilka niezbędnych objaśnień, o cuglach naprzykład albo o bezużyteczności kłócia ostrogami.

Gdy już ćwiczenia były ukończone i wojska podreptały do koszar, Opatrzność wysłała człowieka równie wielkiego, jak chudego i kazała mu galopować poprzez pole manewrów, na spienionym koniu. Zwierzę roztwierało nozdrza, potrząsało swym ogonem, niby sztandarem, na prawo i na lewo i igrało po równinie, podczas gdy jeździec opuścił ręce i jechał spokojnie, kierując zlekka cuglami. Szkoda, że nie było tam wówczas kogoś, coby to zobaczył i mógł powiedzieć mikadowi, że kucyki nie są przeznaczone do dźwigania dragonów.

Jeżeli kiedy losy postawią was na polu bitwy oko w oko z armią japońską, miejcie współczucie dla jej jazdy. Nie uczyni wam ona krzywdy. Rzućcie na ziemię, pomiędzy konie, kilka zapałek — wiatrówek. Ale jeżeli się spotkacie z piechotą japońską, pod dowództwem „kontynentalnego” oficera, zacznijcie strzelać odrazu, często i jak najdłuższą linią. Te same nicponie znają się wybornie na swej sztuce.

Po całkowitem uregulowaniu wojskowej części ży-

cia narodowego, wybrałem się na zwiedzenie Tokio. Jestem już znużony świątyniami; jednostajnym swym przepychem przyprawiają mnie o ból głowy. Niektórzy utrzymują, że Tokio zajmuje taką samą powierzchnię, jak Londyn. Inni znów mówią, że to miasto ma zaledwie szesnaście kilometrów długości, a dwanaście szerokości. Różne są sposoby rozstrzygnięcia tej kwestyi. Wszedłem do herbaciarni, na szczyt zielonego wzgórza i z tej wyniosłości patrzałem na miasto. Od brzegów morza ciągnęła się w dal, jak okiem sięgnąć, jedna zwarta masa szarych dachów, poprzedzielanych kominami fabrycznymi. Potem posunąłem się dalej o kilka kilometrów i spotkałem park i jeszcze ładniejsze, niż przedtem, dziewczyny; patrząc z góry, zobaczyłem miasto, rozciągające się znowu w drugim kierunku tak daleko, jak okiem sięgnąć. Licząc, iż przeciętny wzrok ludzki sięga na odległość trzydziestu kilometrów w dzień pogodny, przypuszczam, że Tokio ma pięćdziesiąt osiem kilometrów długości i tyleż szerokości, a może i więcej. Życie wre we wszystkich dzielnicach. Podwójne linie tramwajów przebiegają po głównych ulicach, szeregi omnibusów stoją przed głównym dworcem kolejowym, a „Główne Towarzystwo omnibusów w Tokio" uwija się po mieście w kształcie złotych i czerwonych wozów. Wszystkie tramwaje były pełne, pełne też były wszystkie omnibusy prywatne i publiczne, a na ulicach pełno foteli na kółkach. Od wybrzeża do cienistego parku, od parku do najdalszych ulic — wszędzie roi się od ludzi.

Tu się można przekonać, w jaki sposób pożarła ich cywilizacya zachodnia. Co dziesiąty człowiek ubrany jest po europejsku, od stóp do głowy. Dziwna to rasa. Może ona parodyować wszelkie typy ludzkie, jakie się spotyka w wielkiem mieście angielskiem;

ale gdy zagadasz do tej imitacyi europejskiej, może odpowiedzieć tylko po japońsku. Błądząc po ulicach, zwracałem się do ludzi, którzy mi się wydawali najbardziej angielskimi. Niezmierna ich grzeczność nie odpowiadała zgoła ubraniu, ale nie umieli ani jednego słowa z mego języka. A tymczasem szyldy sklepów są angielskie, tramwaje zbudowane podług modły angielskiej, towary po sklepach angielskie i ogłoszenia na ulicach także po angielsku drukowane.

Znalazłem się przypadkiem przed biurem redakcyi jednego dziennika. Wszedłem i poprosiłem pana redaktora. Wyszedł do mnie młodzieniec w czarnym surducie; był to redaktor „Opinii publicznej w Tokio”. Nie znajdziecie w innych częściach świata redaktorów, którzyby was częstowali herbatą i cygarami, zanim rozpoczną rozmowę. Mój przyjaciel mało miał w sobie angielskiego. Chociaż tytuł jego dziennika wydrukowany był po angielsku, całe pismo było japońskie. Nie powiedziałem jeszcze po co przyszedłem, a redaktor „Opinii publicznej” zagadnął:

— Jesteś pan Anglikiem? Co pan myśli obecnie o amerykańskim Traktacie Rewizyi?

Wyjął karnecik, na mnie zaś wystąpił zimny pot. Nie umawialiśmy się przecież, że przychodzę na interview.

— Wiele jest — zacząłem, przypominając sobie sira Rogera*) błogosławionej pamięci — wiele jest do powiedzenia w tej sprawie. Amerykański Traktat Rewizyi wymaga bardzo poważnego zastanowienia i może być z całą pewnością poddany...

*) Sir Roger Coverley—jedna z postaci w „The Spectator“ Richarda Steele.

— My, Japończycy, jesteśmy obecnie cywilizowani.

Japonia ogłasza, że jest obecnie cywilizowana. Jest to węzeł całej sprawy. „Zaprzestańmy raz — mówi Japonia — głupiego systemu otwierania portów dla Europejczyków oraz paszportów zagranicznych. Dajcie nam miejsce śród cywilizowanych narodów ziemi. Chodźcie do nas, handlujcie z nami, czujcie się dobrze u nas. Ale — poddajcie się naszym prawom i naszym taryfom". Otóż narody cudzoziemskie, o ile któremu z nich udało się otrzymać specyalne taryfy dla swych towarów, nie bardzo pragną wejść do kategoryi pospolitego tłumu. Zastosowanie się do poglądów Japonii byłoby bardzo wygodnem dla jednostki, która chce szukać powodzenia wewnątrz kraju, ale—nie dla narodu.

Pomimo to nie bardzo pragnąłem, aby moja ignorancya w tej palącej sprawie zanotowaną była w cudzym karnecie. Gladstonowałem*) i używałem najdłuższych, o ile możności, wyrazów. Redaktor zapisywał je na sposób Smorltorka**). Potem napadłem na niego o ową cywilizacyę; mówiłem bardzo wolno, albowiem z każdych dwóch moich wyrazów zapisywał tylko jeden.

— Ma pan racyę—zauważył. — Stajemy się ludźmi cywilizowanymi. Byleby nie za prędko, bo to nic nie warto. Mamy obecnie w państwie dwie partye: liberalną i radykalną. Na czele jednej stoi jeden hrabia, na czele drugiej — drugi. Radykał powiada, że

---

*) Gladstonowi zarzucano w Anglii, że używał najchętniej wyrazów o podwójnem znaczeniu.

**) Rozdział XV „Pickwick Papers" Karola Dickensa.

powinniśmy stać się jak najprędzej Anglikami. Liberał zaś odpowiada: nie tak prędko, gdyż naród, który zbyt pośpiesznie przyjmuje obyczaje innych narodów, dąży do upadku. Ta sprawa cywilizacyi i amerykańskiego Traktatu Rewizyi zajmowała nas specyalnie. Mniej już gorąco chcemy być cywilizowani obecnie, niż przed dwoma lub trzema laty. Nie tak prędko— oto nasze hasło. Tak.

Porównywaliśmy przez chwilę różne cywilizacye, zaprotestowałem więc przeciwko brudzeniu ulic w Tokio szeregami domów, zbudowanych na modłę europejską.

— Nie potrzeba przecież — dodałem — usuwać waszej własnej architektury.

— O! — zawołał pogardliwie redaktor „Opinii Publicznej" — nazywasz ją pan malowniczą. Zapewne. Ale niech pan poczeka, aż się zapali. Dom japoński staje się wtedy fajerwerkiem. Uważamy więc za słuszne budować na sposób europejski. Niech mi pan wierzy, że nie zaprowadzamy żadnych zmian bez głębokiego namysłu. Nie jesteśmy, proszę pana, owemi ciekawemi dziećmi, spragnionemi nowości, za jakich nas mają niektórzy. Minęły już czasy, gdyśmy podnosili z ziemi jakie przedmioty, aby je co prędzej rzucić. Rozumie pan?

— A skądżeście w takim razie wytrzasnęli swą konstytucyę?

Nie wiedziałem, do czego doprowadzi me pytanie, ale winienem był mieć się na baczności. Pierwsze pytanie, jakie Japończyk stawia na kolei Anglikowi, brzmi: „Czy nabył pan już przekład angielski naszej konstytucyi?" Pełno jej we wszystkich bibliotekach kolejowych, a dzienniki wciąż o niej rozprawiają.

— Nasza konstytucya? Była nam obiecana —

obiecana przed dwudziestu już laty. Przed czternastu laty prowincyom pozwolono wybrać swych naczelników. Przed trzema laty pozwolono im na zebrania i w ten sposób zapewnioną została wolność cywilna.

Przez pewien czas byłem zbity z pantałyku. Pojąłem wreszcie, że radom miejskim dano pewną kontrolę nad funduszami policyi i pensyami urzędników powiatowych. Może zresztą nie dokładnie to zrozumiałem, ale redaktor wciągnął mnie w wir słów, kołysał się całem ciałem i potrząsał rękami, usiłując zwalczyć trud torturowania obcego języka i pobudzić mnie do brania na seryo Japonii. Nagle mała rączka spada na mały stoliczek, a maleńkie filiżanki skaczą do góry.

— Konstytucya nasza nie przyszła za prędko. Szła zwolna, rozumie pan? Otóż wasza konstytucya i konstytucye innych obcych narodów są to wszystko konstytucye krwawe. Nasza zbliżała się powoli. Myśmy się tak nie bili, jak baronowie z królem Janem w Runnymede *).

Była to cytata z mowy, jaką przed kilku dniami wypowiedział w Otsu jeden z członków rządu. Uśmiechnąłem się na ten zwykły na całym świecie proceder dziennikarski. Ręka znowu wzniosła się do góry.

— Będziemy z tą konstytucyą szczęśliwi, będziemy narodem cywilizowanym śród cywilizowanych.

— Oczywiście. Ale co będziecie robili teraz? Konstytucya, to rzecz ogromnie monotonna, gdy się raz skończy komedyę posłania członków do Parlamentu. Macie panowie parlament, prawda?

---

*) Jan Bezziemi (1215

— Naturalnie, i z dwoma partyami — liberalną i radykalną.

— Więc i jedna i druga będą wam opowiadały kłamstwa. Potem zawotują prawa i będą spędzały czas na wzajemnej walce. Następnie rządy cudzoziemskie odkryją, że brak wam „konsekwentnej polityki”.

— Tak, ale konstytucya.

Skrzyżował swe dłonie na kolanie. Papieros wypadał mu z ust.

— Brak konsekwentnej polityki. A potem, gdy się już dostatecznie uprzykrzycie potęgom obcym, poczekają, aż się liberałowie wezmą za bary z radykałami i każą wam przeskoczyć poza wodę.

— Żartuje pan? Nie bardzo rozumiem — zauważył. — Wasze konstytucye są wogóle tak straszne.

— Istotnie, tak jest. A panowie bierzecie waszą na seryo, co?

— O, tak. My teraz wszyscy mówimy o polityce.

— I, naturalnie, piszecie panowie o polityce. Nawiasem mówiąc, chciałbym wiedzieć, podług jakich układów z rządem drukujecie panowie wasze pisma. Chcę mianowicie zapytać, czy trzeba coś rządowi zapłacić za prawo drukowania?

— Dzienniki literackie, naukowe, religijne — nie płacą nic. Wszystkie zaś dzienniki czysto polityczne płacą po pięćset jenów — dają je rządowi do przechowania albo też kto inny mówi, że zapłaci.

— Chcesz pan powiedzieć, że wam każą składać kaucye?

— Nie wiem, ale czasem rząd może zabrać pieniądze. Nasz dziennik jest czysto polityczny.

Potem zaczął mnie rozpytywać o Indye i dziwił się niemało, że tubylcy posiadają tam znaczną władzę polityczną oraz kontrolę nad niektórymi wydziałami.

— Ale, czy panowie macie w Indyach konstytucyę?

— Zdaje mi się, że jej nie mamy.

— A!...

Skłoniłem się na pożegnanie bardzo pokornie i pocieszałem się obietnicą, że „Opinia publiczna w Tokio” zda sprawę z moich słów. Chwała Bogu, że ten szanowny dziennik drukuje się po japońsku. Dałbym wiele za to, żeby się dowiedzieć, jakie znaczenie przypisywał moim przepowiedniom o rządzie konstytucyjnym w Japonii.

„Mówimy teraz wszyscy o polityce”. Zdanie to wracało mi ciągle na myśl. Niektórzy członkowie ciała nauczycielskiego w Tokio zapewniali mnie, że studenci mówiliby po całych dniach o polityce, gdyby im na to pozwolono. Na razie rozprawiali o konstytucyi z izbą wyższą i niższą, komitetami, kwestyami finansowemi, regułami procedury i wszelkiemi rzeczami, któremi bawimy się tam u nas od sześciuset lat.

LIST XI

Nieco o duszy Dalekiego Wschodu i o cywilizacyi japońskiej. Moja przepowiednia. — Harakiri. — Wsiadam na statek. — Ostrzeżenie.

Profesor odnalazł mnie w parku Ueno, w samem sercu Tokio; siedziałem zadumany i otoczony dziewczętami z herbaciarni. Mój kulis siedział obok mnie, popijając herbatę z delikatnej filiżanki i zajadając ciasteczka. Myślałem sobie o ośle Sterne'a i uśmiechałem się radośnie do lazuru, tam w górze, ponad drzewami. Dziewczęta zaczęły chichotać po cichu. Jedna z nich chwyciła moje binokle, wsadziła je na spłaszczony nosek i biegała to tu, to tam śród szczebioczących towarzyszek.

— Jakto? nie jesteś pan na przyjęciu u mikada?— zapytał profesor, ukazując się nagle z za węgła jakiejś budy.

— Bo mnie nie zaprosił, a zresztą ubiera się po europejsku; tak samo cesarzowa i cały dwór. Siadaj pan, pogadamy nieco. Nie mogę jakoś dać sobie rady z tym narodem.

Opowiedziałem mu historyę mojego interviewu z redaktorem „Opinii publicznej w Tokio". Profesor zaś czynił poszukiwania w sferach szkolnych.

— Zresztą — objaśnił na końcu sprawozdania — student, który ukończy nauki, marzy jedynie o tem, aby otrzymać jaki urząd. Przyjeżdża więc do Tokio i przyjmuje pierwsze lepsze miejsce, aby nie stracić okazyi dobrej posady.

— A czyimże synem jest taki student?

— Synem chłopa, dzierżawcy, sklepikarza. W ciągu oczekiwania, nasiąka dążnościami republikańskiemi, wskutek sąsiedztwa Japonii z Ameryką.

— I zakłada zaraz dziennik?

— Ma do tego prawo, ale zdaje mi się, że to praca dość ryzykowna. Podług praw dzisiejszych, każdy dziennik może być zamknięty bez żadnych wyjaśnień rządowych.

— Swoją drogą nie mieści mi się w głowie, że naród, który posiada zamiłowanie walki i świetny smak artystyczny, troszczy się o rzeczy, któremi się tak rozkoszują nasi przyjaciele z Bengalu.

— Odbierz pan od tej dziewczyny swe binokle— zawołał profesor — i zajrzyj pan głębiej do duszy Dalekiego Wschodu.

— Daleki Wschód nie ma już duszy, bo czyż konstytucya może wynagrodzić noszenie odzieży europejskiej? Widziałem damę japońską w tualecie wizytowej. Wyglądała okropnie. Czy widziałeś pan ostatni wyraz sztuki japońskiej — malowidła na wachlarzach i w witrynach sklepów? Jest to wierne odtworzenie zmiany sposobu życia — słupy telegraficzne, linie tramwajowe, cylindry i walizki podróżne. Artyści mogą namalować te rzeczy znośnie, ale gdy się stylizuje kostyum europejski, efekt jest okropny.

— Japonia — rzekł profesor — chce zająć miejsce śród narodów cywilizowanych.

— Na tem właśnie polega tragizm kwestyi. Chce mi się płakać, gdy patrzę na ten źle skierowany wysiłek, na to gwałtowne dążenie do brzydoty dla uznania u ludzi, którzy malują na biało sufity, na szaro— kominki, a powozy—na żółto i czerwono. Mikado ubiera się w barwy niebieskie, złote i czerwone; gwardya jego nosi spodnie pomarańczowe z niebieskimi lampasami. Misyonarze amerykańscy uczą młode Japonki nosić frendzle, „frendzle fryzowane" na czole, uczą je splatania warkoczy i związywania ich czerwonemi i jaskrawo-niebieskiemi wstążkami. Niemiec sprzedaje im obrzydliwe obrazki i etykiety na butelkach od piwa. „Allen and Ginter" zasypują Tokio pudełkami od tytuniu z blachy krwawo-czerwonej i zielonej. I wobec tego wszystkiego kraj chce dążyć do cywilizacyi!

— Czy zamierzasz pan wyładować w kraju całą tę gadaninę?

— Naturalnie. A mam do tego liczne powody. Gdy już Japonia sprzeda swe pierworodztwo za to, iż dała się oszukać sąsiadom tak, jak ich oszukano; gdy wpadnie w takie długi przez koleje żelazne i roboty publiczne, że pomoc finansowa Anglii i przyłączenie do niej całego kraju będą jedynym ratunkiem; kiedy już daimiosowie sprzedadzą z biedy swe skarby handlarzom starzyzny, ci zaś odprzedadzą je zbieraczom angielskim; kiedy wszyscy nosić będą modne spodnie i gotowe suknie i gdy Amerykanie założą fabryki mydła nad brzegami rzek i hotelisko na wierzchołku Fudżiyamy,—znajdzie się może taki człowiek, który zajrzy do szpalt Pioncera i powie: „przepowiedziano to dawno". I wtedy pożałują, że się dali wciągnąć do wielkiej maszyny cywilizacyi. Dixi. A teraz chodźmy na grób Czterdziestu siedmiu Roninów.

— Powiedziano już to wszystko przed panem: i lepiej — zauważył profesor.

W Tokio dystanse mierzą się na godziny. Czterdzieści minut bardzo szybkiej jazdy na fotelu na kółkach — to dopiero niewielki kawałek drogi do środka miasta. Chcąc się dostać do sławnego grobowca Czterdziestu siedmiu, potrzeba dwóch godzin jazdy od parku Ueno. Po drodze spotykamy wspaniałe świątynie Shiba, opisane szczegółowo w Baedekerze. Laka, bronz inkrustowany złotem i kryształy z napisem „Om" i „Shri", są to piękne rzeczy do widzenia, ale— nie znoszą druku. W grobowcu jednej ze świątyń była izba cała wyłożona malowidłami na bogato złoconej lace. Jakieś zwierzę, noszące nazwisko V. Gay, uważało za właściwe wydrapać na złocie swe nazwisko. Potomność pamiętać będzie, że p. V. Gay nie obcina paznokci i że nie należało go dopuszczać do rzeczy piękniejszych, jak koryta dla wieprzów.

— To proroctwo na ścianie — zawołałem.

— Wkrótce nie będzie już ani złota, ani laki — pozostaną tylko ślady palców cudzoziemskich. Módlmy się swoją drogą za duszę V. Gay'a. Może to był angielski misyonarz...

W dziennikach japońskich, śród notatek o koncesyach kolei żelaznych, kopalni i tramwajów, czyta się niekiedy ogłoszenia takiej treści: „Dr... wykonał harakiri dzisiejszej nocy w swem prywatnem mieszkaniu przy ulicy takiej a takiej. Do czynu tego doprowadziły go zmartwienia rodzinne". Otóż harakiri

nie znaczy, iż samobójstwo spełnione zostało podług jakiejś specyalnej metody. H a r a k i r i to znaczy h a r a k i r i, a widok prywatnej egzekucyi jest jeszcze okropniejszy, niż urzędowej. Dziwnie pomyśleć, że taka zwinna osóbka, ubrana po europejsku, nosząca cylinder na głowie, może w chwilach udręczeń moralnych, spuścić włosy na brwi i, po odmówieniu modlitwy, rozpłatać sobie brzuch nożem... Kiedy będziecie w Japonii, obejrzyjcie u fotografa Farsari fotografie, przedstawiające harakiri i fotografie ostatnich egzekucyi ukrzyżowania z przed lat trzydziestu. Następnie zapytajcie u Deakina o model głowy człowieka, skazanego niedawno na śmierć. Jest tyle okropnej prawdy w tej nowej pracy artystycznej, że się człowiekowi słabo robi, gdy na to patrzy. Japończycy, tak jak cały Wschód, mają w swych kompozycyach wrodzone skłonności do krwiożerczego okrucieństwa. Jest ono obecnie starannie ukrywane, ale widać je na niektórych obrazach Hokusai'a, widać, że lud niezbyt dawno temu z szaloną rozkoszą wyrażał to okrucieństwo jawnie. Pomimo to łagodniejsi są dla dzieci, niż my na Zachodzie, grzeczniejsi we wzajemnych stosunkach, niż Anglicy, i uprzejmi dla cudzoziemca tak, jak w wielkich miastach i jak w Mofussil *). Co się stanie z nimi, gdy wychowają kilka pokoleń pod skrzydłami konstytucyi,— wiadomo tylko Opatrzności, która ich stworzyła takimi, jakimi są.

Trzeba w każdym razie działać przeciwko Ame-

*) Cały kraj poza Kalkuttą. Wyrażenia tego używa się bardzo często w Indyach.

ryce. Za dużo jest misyonarzy amerykańskich w Japonii, a niektórzy z nich budują kościoły i kaplice z klepek beczkowych,—niesłychanie brzydkie. Prócz tego zasiewają w umysłach japońskich brzydkie idee „Postępu" i nauczają, że dobrze jest wyprzedzić swego sąsiada, polepszyć swe położenie materyalne i wogóle zatonąć po uszy w walce o byt. Wogóle należy zwalczać Amerykanina.

Zwróciłem na tę sprawę uwagę profesora.

— Pojedziemy — zawołał — do Ameryki, zanim pan rozwiążesz tę kwestyę. Pojedziemy do Ameryki, na statku amerykańskim. Powiedz pan do widzenia Japonii.

Tegoż dnia wieczorem obliczaliśmy najściślej korzyści naszego pobytu w kraju Małych Dzieci. A więc— Nagasaki, szare świątynie, zielone wzgórza i cuda potoku, oglądane po raz pierwszy; morze Wewnętrzne, trzydziestogodzinna panorama, w której przesunęły się przed naszemi oczyma tysiączne wysepki, malowane dla naszej rozkoszy na kolor szary, brunatny i srebrny; Kobe, gdzieśmy dobrze jedli i poszli do teatru; Osaka — Osaka kanałów i kwiatów brzoskwiniowych; Kioto — szczęśliwy leniuch, wspaniałe Kioto i niebieskie potoki i niewinne rozkosze Araszimy; Otzu nad wodnistem, bezbrzeżnem jeziorem; Myanoszita w górach; Kamakura — w pobliżu oceanu Spokojnego, gdzie zasiadł wielki bóg Budda i słucha w spokoju duszy szumu wieków i mórz; Nikko, najpiękniejsza miejscowość pod słońcem; Tokio — króliczarnia ludzka, w znacznej części cywilizowana i dążąca całkowicie do postępu; wreszcie różnorodna, franko-amerykańska Yokohama — wszystko to przeszliśmy myślą i segregowaliśmy najpiękniejsze nasze wspomnienia.

— Jakiegoż rodzaju ogólne wrażenie wyniesie pan stąd? — zapytał profesor.

— Dziewczyna w jasnej szacie pod rozkwitłem drzewem wiśni. Poza nią zielone sosny, dwoje dzieci i mostek z wygiętym grzbietem, rzucony nad zielonkawą rzeką, płynącą po niebieskich kamykach. Na pierwszym planie—policyant w źle dopasowanym,europejskim mundurze, pijący herbatę z biało-niebieskiej filiżanki, przy stoliku z czarnej laki. Postrzępione białe obłoki na niebie i zimny wiatr na ziemi.

— Moje wrażenie jest nieco odmienne. Mały chłopczyk japoński w płaskim kaszkiecie niemieckim i zbyt szerokim żakiecie; król, wychodzący ze sklepu zabawek, a kolej żelazna, wychodząca z drugiego sklepu zabawek, setki drzewek, pomalowanych na zielono. Wszystko to zapakowane w pudełko z drzewa kamforowego razem z wyjaśnieniem, nazwanem konstytucyą — cena: dwadzieścia centów.

— Widziałeś pan złą stronę rzeczy. Ale po co opisywać swe wrażenia? Każdy człowiek odczuwa własne. Przypuśćmy, że ja daję poprostu marszrutę naszej podróży.

— Nie uda się to panu — zauważył profesor. — Zanim się tu zjawi następny Anglo-Hindus, nabudują Japończycy sto razy więcej kilometrów kolei żelaznych i zmienią cały układ okolic. Napisz pan, że nie potrzeba w Japonii żadnego planu. Baedeker powie mało, ale ludzie spotkani powiedzą dziesięć razy więcej. Niech każdy sobie weźmie dobrego przewodnika w Kobe, a z resztą da już sobie radę. Marszruta jest nowym objawem tego nieokiełznanego egoizmu, który...

— Napiszę, że na podróż z Kalkuty do Yokohamy, przez Rangoon, Mulmein, Penang, Singapur, Hong-Kong, Kanton i — miesiąc pobytu w Japonii wystarczy

sześćset rubli. Ale kto chce kupować osobliwości japońskie — przepadnie. Czterysta rubli wystarczy na wydatki w ciągu miesiąca w Japonii i wszelkie przyjemności. Należy zabrać ze sobą kilka tysięcy cygar, aby wystarczyło do San-Francisco. Singapur jest ostatniem po drodze miastem, w którem można kupować cygara birmańskie. Aż do San-Francisco nikt nie rewiduje pakunków. Zabierajcie więc ze sobą z tysiąc cygar.

— Masz pan doprawdy dziwne poczucie proporcyi.

Było to ostatnie słowo profesora na ziemi japońskiej.

SPIS RZECZY.







